Nr. 51 (1095). Warszawa, dnia 8 (21) Grudnia 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Skutkiem wyczerpania VI-go tomu ***Pism*** *A. Świętochowskiego, żądającym kompletu dostarczyć go nie możemy.*

POLITYKA.

NA PRZEŁOMIE.

W walce narodowej Boerów nastaje moment przełomowy: żyłom braknie już krwi, duszom energii. Co było pierwej wyjątkiem, a w rzadkich zresztą i słabych objawach swoich nosiło na sobie piętno niemocy lub zdrady, to zaczyna teraz i dla rozumów i dla serc stawać się godziwem prawidłem. Walczono tak długo, walczono tak wytrwale i świetnie, że w walce tej obowiązek znajduje już całkowitą swą miarę. Dwuletnia już przeszło walka sięga nawet wyżej: w historyi mało jest przykładów równie wspaniałych, a pierwszy może, w którymby olbrzym musiał tyle sił wytężyć do powalenia karła. Boerowie ostatnie karty swego dziejowego żywota we własnem państwie zapełnili pismem, które potomność, zdolna jeszcze odczuwać zasadnicze wartości historyi, z rozkoszą odczytywać będzie. Całe społeczeństwo bohaterów, jeśli do bohaterstwa wystarcza poświęcenie życia, uporczywość w walce i zadziwiający rozpęd do czynu; całe społeczeństwo męczenników, jeśli się ogarnie wzrokiem tych wszystkich mężów, którzy padali i konali bez nadziei, te wszystkie niewiasty i dzieci, którym walka jednej spokojnej nocy nie zostawiła, a okrucieństwo angielskie zgotowało wygnanie z progów domowych, pożogę, obozy koncentracyjne i mór, mór straszliwy.

Biedny szczwany przez przemoc lud pragnie już spokoju. Stalowa maszyna nawet zmęczyłaby się tym ustawicznym ruchem. Maleńkie, liczebnie słabe społeczeństwo boerskie, o ile wiązań jego wewnętrznych wojna i mór i Anglik nie porozrywał, chce jeszcze w fizycznych swoich osobach, w ogólnie ludzkim i naturalnym bycie swoim trwać — i pragnie spokoju. Sami walczący, przy niezmiernem wyczerpaniu źródeł siły — czują bezsilność swoją i osobiste nawet, duchowe i fizyczne znużenie—i pragną spokoju. Żadna nadzieja nie daje oparcia, nie krzepi, nie rozpłomienia, w boju jako najdzielniejszy sprzymierzeniec nie niesie pomocy. I po drugiej też stronie występuje uczucie jakby przesytu i wyczerpania. Jeszcze Brodrick, jak na ministra wojny przystało, grzmi groźbą walki bezwzględnej, bez pardonu, bez krępowania się uznawaniem przeciwników za prawnie walczących; jeszcze Kitchener wypędza na wieki z Afryki, która ma być wyłącznie angielską; jeszcze Chamberlain ukazuje Narodowi Angielskiemu wszystkie powaby, uroki i utajone siły niewinnie przelewanej krwi; jeszcze hasło: „zgnieść,“ niestłumione żadnem innem, rozlega się w tym narodzie; ale narodowi temu zaczynają się już przykrzyć ciągłe jatki, częste klęski, ustawiczne ofiary w ludziach i zasobach wojennych, i już z jego głębi, choć nieśmiało, wynurza się niezadowolenie z tej wielkiej podbójczej polityki — której najżarliwszym arcykapłanem i parobkiem zarazem jest minister kolonij. W mowie Rosebery'ego w Chesterfield niezawodnie słychać krzyk człowieka sięgającego po władzę, ale słychać też i głos napominający do zaniechania walki; a kandydat na przyszłego pierwszego ministra nie śmiałby głosu tego podnieść, gdyby nie był pewny oddźwięku nietylko w przyszłem swojem stronnictwie, ale i w pewnych warstwach społeczeństwa i narodu.

Przy obustronnem chyleniu się ku pokojowi — wprowadzenie go na porządek dzienny nie napotka przeszkód zasadniczych; ale sama duma ministrów angielskich rokowania opóźni. Ta duma nawet nie zeszłaby może wcale z toru, którym kroczy, gdyby nie wola krola Edwarda, który nie będąc politykiem, jest jednak królem, postanowił koniecznie w r. 1902, najpóźniej w czerwcu, się ukoronować, a do koronacyi potrzebuje spokoju. Nie wolno się gorączkować, ale z zupełnym rozsądkiem można przewidywać za kilka tygodni podjęcie rokowań, bądź z Salisburym jeszcze, bądź już z Roseberym na czele rządu. Cokolwiek Anglia jako *sine qua non* postawi, Transwal i Orania przestały być już państwami samodzielnemi. Proklamacya wcielająca je, rola Milnera jako wielkorządzcy przejściowego mogą zejść do nicości; ale wyrzeczenie się niepodległości międzynarodowej przez Boerów jest już nieprzepartą koniecznością. Taka też konieczność prześwituje z warunków omawianych w obozach boerskich, i z uchwał przedwstępnych w otoczeniu Krugera: tracąc niepodległość, ocali się przynajmniej samorząd i narodowość. Oprócz samorządu chcą jeszcze Boerowie odbudowania zniszczonych osad i wogóle wynagrodzenia zniszczeń dokonanych przez wojsko i politykę angielską; prawowicie też żądają amnestyi powszechnej i przywrócenia ojczyznie wszystkich na wieki z niej wygnanych. Nikt nie wyjedna i nikt też nie poręczy ustępstw czy przyznań angielskich: i to jest niebezpieczeństwo tkwiące w całej tej sprawie. Za lat 10, gdy kolonizacya angielska się wzmoże, poczują Anglicy żądzę odwołania

tego, coby obecnie Boerom dali: a wtedy już nie będzie ratunku, chyba nieszczęśliwa dla Anglii wojna po za Transwalem. Wtedy też dzielny lud, nie bacząc na pomyślne lub niepomyślne warunki, zerwie się do nowej walki o życie. Jest w nim rasa, jest dziejowa siła: nie zginie.

Wyodrębnienie Galicyi.

Władysław Studnicki od r. 1898 podjął to hasło i bezustannie je głosi. Przybył z niem do Galicyi i potrafił przekonać przywódców stronnictwa ludowego do tego stopnia, że ono na ostatnim swym zjeździe w Tarnowie, w czerwcu r. b., wcieliło to hasło do swojego programu i postanowiło jak najenergiczniej domagać się wprowadzenia go w życie. Dziś znów p. Studnicki wydaje w tej kwestyi rozprawę i zapowiada szereg dalszych prac, wyjaśniających poszczególne punkty.

Hasło nie jest nowem — i to tłomaczy przedewszystkiem jego łatwe przyjęcie się na gruncie galicyjskim. Nawiązuje ono pasmo tradycyi, które sięga r. 1848. Sam p. Studnicki przypomina w pierwszej części swego dziełka wniosek sejmowy człowieka, którego nazywa „największym umysłem politycznym, jaki Galicya wydała w ciągu XIX stulecia," Franciszka Smolki, postawiony znów w r. 1868, a domagający się dla Galicyi takiego samego stanowiska w monarchii habsburskiej, jakie właśnie były posiadły Węgry. Zaczynające się jednak wówczas stańczykostwo, poświęcając interesy narodowe kraju dla ogólno-państwowego stanowiska— szlachty, zrywa tę nić tradycyi, udaremnia żądania Smolki. Ustają dążenia do samodzielności Galicyi, oparte na motywach czysto-politycznych. Dopiero ludzie ducha nowożytnego, pragnący zrobić z Galicyi kraj przemysłowy— Stanisław Szczepanowski i Rostowski — nie stawiają wprawdzie wyraźnie postulatu prawno-państwowego samodzielności kraju, ale przygotowują dla niego nowy grunt, uzasadnienie ekonomiczne, wykazując, że zależność prawodawcza i administracyjna od Wiednia nie pozwala na rozwój przemysłu w Galicyi. P. Studnicki, oddając hołd uznania tym swoim poprzednikom, łączy w jedną myśl motywy i dążenia obu ich grup.

Możemy wierzyć p. Studnickiemu, gdy nas zapewnia, że do myśli wyodrębnienia Galicyi doszedł samodzielnie, a przynajmniej niezależnie od dawnych galicyjskich jej promotorów, i że z samym wnioskiem Smolki z r. 1868 dopiero później się zapoznał. W przedmowie do swej ostatniej książki, w której jakby na spowiedzi publicznej, uzasadnia swoje przejście do stronnictwa ludowców i która ujmuje swą szczerością, opowiada p. St. czytelnikom, w jaki sposób doszedł do swego teraźniejszego programu. Było to w Wiedniu, w końcu r. 1897. Badeni upadł, musiał się podać do dymisyi wobec obstrukcyi Niemców i wzburzenia ludu wiedeńskiego. W kołach najbliższych p. Studnickiemu cieszono się z tego upadku, widząc w nim karę za *lex Falkenhayn* i wprowadzenie policyi do parlamentu; i p. St. cieszył się z tego tryumfu żywiołów najradykalniejszych. Był on jednak o tyle krytycznym, że dojrzał i drugi czynnik oburzenia, który niewątpliwie istniał i mieszał się z tamtym, i drugi żywioł tryumfujący: narodowo-niemiecki. Pod wpływem tego oburzenia rozlepiano na rogach ulic plakaty, domagające się — wyodrębnienia Galicyi, aby Badeniowie i Abrahamowicze nie mogli przeważać szali w parlamencie, rządzić Austryą na niekorzyć Niemców. Ha!—pomyślał wtedy p. St. — dobrze! I owszem, uwolnimy was chętnie od swej obecności w Wiedniu — dajcie nam tylko to, co mają Węgrzy!

Postanowienie pracowania w tym kierunku umocniło się jednak w duszy naszego publicysty głównie pod wpływem krytycznego rozmyślania nad warunkami istnienia i rozwoju nowożytnego stronnictwa postępowego w Galicyi. Wszak warunkiem najkardynalniejszym jest wszędzie rozwój przemysłu; w kraju, jak Galicya, nawskróś rolniczym, mającym tak mało miast, i to zaledwie średnich, a w nich ludność nie wielkoprzemysłową, lecz rzemieślniczą, może znaleźć się pierwszy punkt oparcia dla takiego stronnictwa, które może też poruszyć umysły, odsłonić rany i brudy istniejącego ustroju, wskazać jak najlepsze środki zaradcze, drogi odrodzenia i na daleką i na bliższą metę— cóż z tego? Wołaniom jego brak tego muru, o który one gdzieindziej się odbijają echem gromowem: ludności uprzemysłowionej, zrzeszonej i wyszkolonej przez wielki przemysł. Dlatego nie może ono tutaj drogą normalną przeprowadzać społeczeństwa z jednej fazy do drugiej, nie może za pomocą stopniowego, prawidłowo, żywiołowo wzrastającego nacisku uzyskiwać ustępstwa za ustępstwem, postępu za postępem. Nie może czuć mocnego gruntu pod nogami. Aby Galicya przestała być szlachecko-klerykalną, przysłowiową krainą nędzy, ciemnoty i nadużyć, aby mogła odpowiedzieć dalej pokładanym w jej autonomii nadziejom — trzeba ją więc koniecznie uprzemysłowić.

Kto kulturę pojmuje na sposób nowożytny, europejski, ten chyba nie wątpi, że byłoby istotnie pożądane uprzemysłowienie Galicyi z punktu widzenia kulturalnych interesów tego kraju. Dopiero niedawno, z powodu zjazdu przemysłowego w Krakowie, p. Wilhelm Feldman w jednym ze swych najdzielniejszych i najpiękniejszych artykułów wykazywał, że nawet ze stanowiska humanitarnego powinniśmy pragnąć zastąpienia kultury szlacheckiej wielko-kapitalistyczną, bo „w porównaniu z warunkami pracy, płacy i moralnego traktowania w kleszczach szlachecko-biurokratycznych, czekająca nas faza, w którą zresztą wstępujemy wzbogaceni doświadczeniem i owocami walki innych narodów—stanowczym jest postępem." Dziś znowu, w odpowiedzi p. Ignacego Daszyńskiego na artykuł prof. Ochenkowskiego o przerzuceniu się środka ciężkości interesu narodowego ze szlachty na lud, czytamy, że jeżeli nie chcemy „samobójstwa narodowego" — masowej emigracyi włościan, to zatrudnić ich musimy pracą przemysłową. Autor pracy o „Szlachetczyźnie i odrodzeniu Galicyi" dawniej już, w roku 1898 także, głosił konieczność przymierza między wszystkiemi stronnictwami, stojącemi na gruncie nowożytnym, w celu zastąpienia typu agrarno-klerykalno-militarnego społeczeństwa typem przemysłowym i jego zdolnością rozwojową. Tu więc w obozie postępowym niema dwóch zdań. P. Studnicki wziął sobie, co prawda, za zadanie coś więcej jeszcze: przekonać wszystkie warstwy społeczeństwa galicyjskiego, że rozwój przemysłu wielkiego leży w ich interesie. Prawdopodobnie najmniej te argumenty trafią do przekonania większym

---

PIOTR ALTENBERG.

BRZEG MORSKI.

Małgorzata stała tuż przy nim.

Oparła się o niego.

Wzięła jego ręce w swe drobne dłonie i trzymała je mocno. Od czasu do czasu przyciskała je łagodnie do swych piersi.

A jednak miała dopiero lat jedenaście.

„Małgorzata jest przyjaciółką ludzi," rzekła jej matka do młodego człowieka, „Róża jest inną... Lubi samotność, naturę i zwierzęta. Teraz oddała swe serce żółtemu jamnikowi, panu Kastorowi. Spotkało ją wczoraj to szczęście, że była mu przedstawioną. Ma ona dzisiaj kieszenie wypchane kawałkami cukru dla niego... ale jest to nieszczęśliwa miłość."

„Dlaczego nieszczęśliwa?!..." — rzekło dziecko — ja go przecie kocham! I ciągle o nim myślę... To mi daje tyle szczęścia!

Róża miała dziewięć lat, była blada i wiotka.

Małgorzata powiedziała: „O, Rózia jest egzaltowana!"

„Dlaczego!?"—spytała siostra i pobladła.

„Tak, egzaltowana jesteś!... Ona chce zostać pasterką w górach i uczyć się grać na cytrze!"

Róża. „Gospodarz w Igls tak pięknie grał na cytrze i śpiewał przytem! I wcale nie wiedział, że pięknie gra!... On sobie siedział i śpiewał..."

Małgorzata. „Rózia ma alt i sama sobie piosnki układa. Rankiem śpiewa czasami: „O moje góry, moje góry?..." Egzaltowaną jest jednak!..."

Matka rzekła: „To nie jest przecie pieśń: „O, moje góry!?..."

Róża spojrzała na siostrę: była zdumiona, zmieszana.

Małgosia rzekła: „O tak, to jest pieśń!... Mamo, ty tego nie rozumiesz, to tylko my rozumiemy! To jest pieśń, wszak prawda, panie!?..."

Młody człowiek powiedział: „tak!"

Myślał: „To jest dźwięcząca ludzka dusza... pieśń."

Patrzył w świat dwu dziecięcych dusz.

Małgorzata była różaną jutrzenką... nie można było wyrazić się inaczej.

Ale ta druga, blada, wiotka, która chciała zostać pasterką w górach i uczyć się grać na cytrze i która śpiewała: „O moje góry, moje góry?!..."

Nadszedł wieczór.

On siedział na ławce na esplanadzie między obojgiem dzieci.

Małgorzata położyła swą jasną główkę na jego kolanach i zasnęła...

Róża siedziała i patrzyła na morze w dal. Obie białe, słodkie, dziecięce dusze owiewały go swem tchnieniem.

Ale rzeczywiście kochała go tylko Małgosia i rzeczywiście on tylko ją kochał.

Co to jest „rzeczywiście?"

Nad drugą unosiło się przeznaczenie. W niej śpiewało: „O moje góry...." A jednak całowała go tak tkliwie i mówiła: „Ty, panie Albertku..."

Ale pana Kastora o żółtej szerści, krzywych nóżkach i olbrzymich uszach... tego kochała „rzeczywiście".

Gdy przechodził, taczając się jak kaczka, odczuwała głęboką tęsknotę... I stała tak ze swymi wzgardzonymi kawałkami cukru i wrzucała je w wodę...

Młody człowiek czuł głębię.

Matka rzekła prosto: „Rózia jest trudna w obejściu. Baczę na to, by dużo spała. Chciałabym ją chronić od wzruszeń.."

Nawet macierzyńskie jej serce czuło „unoszące się przeznaczenie."

Młody człowiek obchodził się z obiema jednakowo. Obie całował, z obiema chodził po esplanadzie, trzymając każdą za rękę, z obiema wiosłował w ciche, wieczorne godziny powoli tam i napowrót...

Obydwom darował na pożegnanie w jesieni dwa złote dzwoneczki jako broszkę z wyrytym napisem z „morskiego brzegu."

Rózia śpiewała następnego poranku w mieście swym altowym głosem: „O moje góry, moje góry!..."

posiadaczom ziemskim; co do chłopów, to nie ulega wątpliwości, że dla nich możność zarobków przy fabrykach byłaby dobrodziejstwem; a co do drobnego rzemiosła, to, jakikolwiek by się miało pogląd na słuszność ryzykownych twierdzeń o wzroście, lecz nie upadku drobnych przedsiebiorstw, w miarę rozwoju wielkich, trzeba w każdym razie przyznać, że rozwój wielkiego przemysłu w samej Galicyi byłby dla drobnych przedsiebiorców przecie znacznie bardziej pożądany, niż tak jak się dzieje obecnie w innych prowincyach Austryi, bo teraz są oni tylko rujnowani, a wówczas znajdowaliby przynajmniej na miejscu inne sposoby zarobkowania i źródła dochodów.

Galicya posiada niewątpliwie przyrodzone warunki uprzemysłowienia: ma sól, naftę, wosk ziemny, siarkę, cynk, sole potasowe, glinę ceramiczną, glebę nadającą się do produkcyi lnu i buraków cukrowych; wytwarzała już przed kilkudziesięciu laty znaczne ilości płótna. Lasy, jeszcze zasobne, stanowią podstawę dla różnych gałęzi przemysłu drzewnego itd. Nie ma Galicya rudy żelaznej i węgla kamiennego, lecz te braki nie stanowią przeszkody do wytworzenia przemysłu, przerabiającego obcy materyał surowy, tem bardziej, że mniej wartościowy węgiel brunatny istnieje w kilku okolicach kraju. Ale już samej nawet eksploatacyi tego węgla nie sprzyjają taryfy kolejowe, układane w Wiedniu na zasadzie potrzeb ogólno-państwowych, a dla Galicyi z jej konfiguracyą podłużną, powodującą wielkie odległości, zupełnie nieodpowiednie. Wogóle p. St. wykazuje, że rząd austryacki zawsze uważał Węgry i Galicyę za rynki zbytu dla przemysłu austryackiego i wszelkimi sposobami przeszkadzał rozwojowi ich produkcyi. Za czasów absolutyzmu były to sposoby brutalne; dziś są bardziej pośrednie, wyrażają się w gorszem uposażeniu kolejami, drogami wodnemi, szkołami, w bierności wreszcie i automatycznem, wprost przygniatającem działaniu współzawodnictwa wyższego przemysłu austryackiego na bezbronną, wcieloną do tego samego obszaru podatkowo-celnego chorą Galicyę. Za prof. Kleczyńskim i Głąbińskim wykazuje też autor, że Galicya, wbrew twierdzeniom niemieckim o jej „pasorzytniczym" charakterze, daje skarbowi państwa znacznie więcej, niż od tego skarbu otrzymuje — nawet z wliczeniem kosztów na wojsko. Brak miejsca nie pozwala nam bliżej zapoznać czytelnika z tymi argumentami, których opracowanie, acz nieco chaotyczne, jest u p. St. bardzo pouczające.

(D. n.)

K. Radosławska.

Tydzień polityczny. Stosunki pomiędzy pp. Koerberem a Gołuchowskim naprężone. P. Koerber zasypał się: d. 9 b. m. zapewnił, że nie wyrażono żadnych przeprosin i ubolewań; a nazajutrz p. Bülow w sejmie niemieckim, odpowiadając na interpelacyę księcia Radziwiłła, przytoczył tekst depeszy Eulenburga z Wiednia, przynoszącej Prusom, wyjęte z ust hr. Gołuchowskiego, słowa ubolewania. Wykpiwanie się, data 6-go b. m., gdy owo zapewnienie sięgać miało nie dalej jak po d. 4 b. m., wzmacnia tylko popełnione już kłamstwo. Poseł krakowski Breiter zainterpelował ministra.—Nauczyciel wiejski, tym razem już czysty Niemiec, a nie Koralewski, w Będzitowie, pow. Szubińskim, obił tak ciężko małego Józefa Hetmana, że ofiara jego pedagogii w kilka dni zmarła. Obstrukcya zwaliła winę na pestkę połkniętą przez biedne dziecko. Ruch przeciw Niemcom szerzy się w Galicyi i na Węgrzech.

Bärnreuther wniósł interpelacyę, zapytującą p. Koerbera czy swoją groźbę zawieszenia konstytucyi w mowie z d. 9 b. m. rzucił z upoważnienia korony, czy na własną odpowiedzialność. W Austryi sprawa to dziś najbardziej zajmująca. Izba przyjęła budżet tymczasowy, t. j. upoważniła do wydatkowania przez 3 pierwsze miesiące w wysokości preliminarza. Sejm galicyjski zwołany na 28 b. m. Konferencye czesko-niemieckie prawdopodobnie się rozchwieją. Po świętach będzie za to głośno i wesoło w Izbie. Metropolita Szeptycki zamknął od d. 16 b. m. seminaryum świeckie we Lwowie: całemu zarządowi dał dymissyę.

Taryfę celną związkową odesłał sejm niemiecki do komisyi z 28 członków. Jest w niej 18 bezwzględnych agraryuszów. Nuncyuszem na Niemcy, z rezydencyą w Monachium, został Tarnassi.—Interpelacya z d. 10 b. m. będzie roztrząsana jeszcze po świętach, jeżeli prezydyum nie ulegnie rządowi i nie zdusi wolnego głosu.

Constans znowu się srożyć zaczyna. Wydaje francuskie pasporty Armeńczykom, domaga się wypłaty zaległych pensyj urzędnikom Francuzom.

We Francyi rząd dał dymisyę prof. Herve za brak powołania wychowawczego. Minister Leygues odniósł tryumf: 412 głosów przeciw 65 uchwaliło rozwieszenie jego odpowiedzi na interpelacyę Vivianiego we wszystkich gminach Francyi. Millerand wstrzymał się od głosowania. D. 10 b. m. Izba wezwała rząd do zaprowadzenia rosnącej stopy opłat od spadków wyższych nad milion franków. Nareszcie!

Sułtan ciężko chory podobno na krtań. Nie przeszkadza mu to ścigać spiskowców. Prześladowany oddawna Mahmud Damat, szwagier sułtanki, człowiek nie bez wartości, ma być teraz wydalony z Grecyi, która natarczywości sułtana prawdopodobnie ulegnie.

Dewetowi udało się około Heilbronu w Oranii osaczyć oddział Wilsona, ale wybawił go po dwu dniach Remington. Botha, ciężko ranny i prawie już wzięty do niewoli w prowincyi Vryheid, zdołał się schronić do kraju Zulów na wschód od widowni wojennej. W obozach koncentracyi mór straszliwy. Statystyka angielska, urzędowa popisuje się tu przerażającemi liczbami. Powstanie już upada. Nawet Krüger chce zaniechania walki. Przewódcy miejscowi naradzają się. Rząd przestaje uważać Boerów za stronę wojującą. Wątpliwem jest „przyjacielskie doradzanie" Angli ze strony kilku mocarstw, żeby utrzymała samorząd i przyznała prawa polityczne. Campbell - Bannerman i Roseberg mieli mowy nieprzychylne dla rządu, zwłaszcza drugi wystąpił jako domniemany dziedzic, z pewnem uznaniem prawowitości boerskiej — oczywiście dopóki nie otrzyma dziedzictwa. Anglicy posyłają do Transwalu i Oranie swoich kolonistów.

W Tientsinie była bójka Niemców z Anglikami, wszczęta przez „obłąkanego" i zabitego też już sepoja. Padło kilku Niemców. Sprawa załatwiona. Niechęć ku cesarzowej wdowie rośnie. Podpalono w Kai-feng-fu pałac; Harte dyrektor ceł został drugim opiekunem następcy tronu,—którego jeszcze niema.

Parlament w Tokio w odpowiedzi na mowę tronową, przewiduje na r. 1902 zawikłania na Wschodzie.

Pomiędzy Chili a Argentyną ostry zatarg graniczny. Obie strony już się uzbroiły. Obecnie pośrednictwo angielskie daje nadzieję pokoju. Pomiędzy Kolumbią a Venezuelą—cisza.

Była to jednak pieśń... pieśń!

Małgorzata słuchała jej i myślał: „Ty poetko, ty śpiewaczko!..."

Potem rzekła z prostotą: „Róziu, jesteś egzaltowana!..."

* * *

— Lowienie ryb musi być bardzo nudne—rzekła pewna panna, która tyle o tem miała pojęcia, co i większość panien.

— Gdyby było nudne; nie robiłabym tego przecież — rzekło dziecko o ciemnych włosach i nogach gazeli.

Ona stała z wielką, niezmąconą powagą rybaka. Zdjęła rybkę z wędki i cisnęła ją na ziemię

Rybka umarła...

Morze leżało, skąpane w świetle, błyszczące. Pachniało wierzbą i zgniłymi wiszarami. Z hotelu dolatywał brzęk noży, widelcy i talerzy. Rybka zatańczyła na brzegu krótki, oryginalny taniec, jak dzikie narody — i umarła.

Dziecko łowiło dalej z wielką, niezmąconą powagą rybaka.

— Je ne permettrais jamais, que ma fille s'adonnât à une occupation si cruelle, rzekła jedna pani, która siedziała w pobliżu.

Dziecko zdjęło z wędki rybkę i cisnęło ją znowu na ziemię, niedaleko siedzącej pani. Rybka umarła... Wzleciała szybko w górę i spadła martwa... Prosta, słodka śmierć! Zapomniała nawet zatańczyć, odeszła sobie tak, bez wszystkiego...

— Oh!.. — rzekła pani.

A jednak leżało w obliczu okrutnego, ciemnowłosego dziecka głębokie piękno i przyszła dusza...

Oblicze szlachetnej pani było zniszczone i blade...

Ona nikomu już nie da radości, światła, ani ciepła...

Dlatego czuła z rybką.

Dlaczego musi ona umrzeć, kiedy ma jeszcze w sobie życie?..

A jednak wzlatuje w górę i spada martwa na dół — prosta, łagodna śmierć.

Dziecko łowi dalej z wielką, niezmąconą powagą rybaka. Jest przecudne, z wielkiemi, nieruchomemi oczami, swymi ciemnymi włosami i swemi nogami gazeli.

Może ono też kiedyś będzie współczuła rybce i powie: Je ne permettrais jamais, que ma fille s'adonnât à une occupation si cruelle!..

Ale te subtelne poruszenia duszy wykwitają dopiero na grobie wszystkich zburzonych marzeń, wszystkich zabitych nadziei.

Dlatego zarzucaj dalej wędkę, miłe dziewczę! Bo, nie sobie nie uświadamiając, nosisz jeszcze twe piękne prawo w sobie!..

Zabijaj rybkę i zarzucaj wędkę!..

STRACH.

— Co to jest strach? — spytała stara panna — ja tego nie znam!

— Strach jest... gdy meble trzeszczą — rzekła jedna, która jeszcze starą panną nie była.

Stara panna nie dała się jednak zbić z tropu i, żeby dowieść jak mało się boi, rzekła:

— Widzicie, najwięcej lubię duchy, mniej zbrodniarzy, a najwstrętniejszą jest dla mnie mysz.

Jedna, która jeszcze wcale starą panną nie była, powiedziała:

— Czyż się trzeba *czegoś* bać?! Boi się *wogóle!*

— W tem leży głęboka myśl — rzekła stara panna, chociaż nie miała najmniejszego pojęcia — jaka.

Ale ponieważ była starą panną, musiała przeto być pełną mądrości.

Średnia myślała:

— Tere fere... strach jest to, gdy meble trzeszczą!..

I przy tem zostało.

Bo średni mają zawsze słuszność. Młodsi mają *za dużo* fantazyi i boją się *wogóle*; starzy mają jej *za mało* i nie boją się *wcale*; średni odczuwają *ludzko*: „Strach jest... gdy meble trzeszczą!"

Przekł. z niemiec. *Konstancyi P.*

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

Polityka ekonomiczna na dobie. — Komunikat urzędowy z powodu przesilenia. — Leroy-Beaulieu o warunkach przemysłu rosyjskiego. — Projekt nowego prawa o zabezpieczeniu robotników i ich rodzin w razie wypadków nieszczęśliwych.

Sprawa wojny celnej z Niemcami poruszyła żywo opinię publiczną i wszelkie sprężyny polityki ekonomicznej. Wszczął się ruch oddawna niebywały w prasie i życiu. Zaczęto zwracać uwagę baczniejszą na rynki angielskie i na możność zawiązania trwałych stosunków ekonomicznych z tym krajem. Nawet już wysłano do Londynu kilkudziesięciu wybitnych przemysłowców dla zbadania warunków na miejscu.

Artykuł *Wiestnika Finansów* wywołał liczne i szerokie komentarze w prasie. Już dziś zaczęto skrzętnie obliczać, co Niemcy stracą w razie wypowiedzenia wojny celnej. Na olbrzymich przestrzeniach państwa rosyjskiego Niemcy się rozpanoszyli we wszelkich dziedzinach życia. Wyzyskują nieprzebrane bogactwa, zapełniają liczne rynki swoimi wyrobami, zwłaszcza żelaznymi, chemicznymi itp. Słowem, lwią część swoich zysków czerpią z Rosyi. W razie zaostrzenia się stosunków i zerwania układów wszystkie rynki rosyjskie dla Niemców będą zamknięte, co się równa wielkiej katastrofie ekonomicznej Rzeszy. Takie mniej więcej wnioski wygłasza wiele pism rosyjskich.

Nie mniej baczną uwagę zwrócono na wewnętrzny stan ekonomiczny państwa. *Wiestnik Finansów* ogłosił komunikat ministeryum skarbu, w którym charakteryzuje obecne przesilenie przemysłowe. Polityka protekcyjna i wypływające z niej taryfy celne z r. 1891, zdaniem organu ministeryalnego, przyniosły świetne wyniki. Od r. 1892 przemysł rozwinął się olbrzymio Wytwórczość ogólna, w obrębie całego państwa, wzrosła w trójnasób tak dalece, że dziś rozlega się powszechne narzekanie na nadprodukcyę tudzież spadek cen. Zjawiska te wszakże nie są niebezpieczne dla gospodarstwa narodowego. Spadek nie jest zupełnie normalny i nie wynika ze zmniejszonych zamówień rządowych, gdyż rząd, jak dawniej, zabiera 30% ogólnej produkcyi żelaznej, a przy tem i stan spożywców wewnętrznych wcale się nie pogorszył w ostatnich latach.

Zdaniem ministeryum, przesilenie obecne pochodzi ze spekulacyi źle obrachowanej i nieumiejętnie prowadzonej. Chwilowo wysokie ceny zawiodły. Budowano drogo, przebudowywano błędnie, pożyczano na wysokie procenty, przepłacano zażyczeli i pośredników. Nowe przedsiębiorstwa pochłaniały znaczne sumy; skutkiem tego w chwili rozpoczęcia spekulacyi pozostawały one bez funduszów obrotowych.

„Oskarżenia, spadające dziś na ministeryum—mówi komunikat—jakoby ono zachęcało do przedsiębiorstw, a dziś pozostawiało je bez opieki, pozbawione są wszelkich podstaw. Oskarżano ministeryum o to, że nie dopuszcza kapitałów zagranicznych, żądano, ażeby skarb normował produkcyę za pomocą znacznych zamówień po cenach wysokich, czego jednak skarb nie może uczynić ze względu na interesy spożywców, jak również nie może ponosić skutków lekkomyślności kapitalistów, którzy budują fabryki, licząc na zamówienia rządowe."

Przemysł w obrębie państwa rosyjskiego wzrasta jednak stale, a przemysłowcy, dotknięci przesileniem, powinni rozumieć jego przyczyny, do których, obok ogólnego braku gotówki, zaliczyć należy: zbyt pospieszny ruch przedsiębiorczości, niezgodny z potrzebami istotnemi i wywołany gorączką spekulacyjną; zła organizacya przedsiębiorstw i nieumiejętny rachunek handlowy; wreszcie lekceważenie rynków wewnętrznych.

Przemysłowcy powinni się oryentować w warunkach rynku, zmniejszać koszty produkcyi i zniżać ceny wyrobów, dążyć jednocześnie do opanowania rynku wewnętrznego. Nie należy liczyć na pomoc rządu, ale rozszerzać sferę spożywców i nie pomijać, jak dotąd, interesów spożywców drobnych. Organ ministeryalny oznajmia, że do tworzenia syndykatów za pomocą ceł wysokich rząd dopomagać nie może bez krzywdy spożywców wewnętrznych, jak również nie może się kierować interesami pewnych grup, gdyż zadaniem jego jest rozciąganie opieki nad interesami całego państwa. Ostatecznie ministeryum ostrzega, że rząd wcale nie zamierza dopomagać do tworzenia się syndykatów, zakładanych celem zmiany kłopotliwego dziś położenia; nie będzie im wszakże czynił żadnych przeszkód. Na takie jednak stanowisko rządu przemysłowcy mogą liczyć dopiero wtedy, gdy syndykaty nie będą miały celu ukrytego w sztucznem podnoszeniu cen wyrobów swoich, inicyatywę zaś łączenia się wezmą na siebie bez wszelkiego udziału i pomocy ze strony rządu.

Na niektóre wybitne dziedziny życia ekonomicznego w Rosyi zwrócił baczną uwagę Leroy-Beaulieu i poświęcił im osobny artykuł w l'*Economiste Français*. Autor roztrząsa stan przemysłu żelaznego i węglowego. Zaznaczywszy zawód, jakiego doznali ci Belgijczycy i Francuzi, którzy włożyli swoje kapitały w przedsiębiorstwa przeważnie metalurgiczne, autor zastanawia się nad przyczynami niepowodzenia w tak rozległej dziedzinie produkcyi. Są to, zdaniem ekonomisty francuskiego, przyczyny ogólne i specyalne. Pierwsze tkwią w psychologii i ustroju społecznym narodu rosyjskiego, który dotąd jest bardzo słabo przystosowany do rozwoju przemysłowego, popieranego przez rząd. Naród ten jest mało „elastycznym," skąd właśnie, zdaniem autora, wynika wiele niepowodzeń ekonomicznych.

Leroy-Beaulieu utrzymuje, iż powstanie nowych fabryk metalurgicznych i kopalni węgla było objawem przedwczesnego wybujania. Liczne omyłki pogorszyły położenie.

Przyczyny przesilenia autor charakteryzuje w sposób następujący: Te fabryki, które istniały 8—10 lat, zanadto pospieszyły z wydawaniem wysokiej dywidendy. Administracya nieumiejętna, mało sprężysta, również prowadzi przemysł do zguby. Tak np. znane Towarzystwo brańskie, posiadające akcye o nominalnej wartości 100 rb. (260 fr.), wypłacało dywidendę po 85 fr., nie myśląc wcale o amortyzacyi kapitału. Autor krytykuje także gospodarkę Towarzystwa sosnowieckiego, które przed rokiem obliczyło nieprawdopodobnie wysoką dywidendę.

Zdaniem ekonomisty francuskiego, następujące środki mogą usunąć przesilenie: trzeba przedewszystkiem zaniechać urządzania nowych przedsiębiorstw metalurgicznych jak również kopalni węgla, a nadto rozszerzania lub przerabienia już istniejących. Trzeba, ażeby rozmiary produkcyi ściśle odpowiadały zapotrzebowaniu, gdy tymczasem dziś jest nieustanna nadprodukcya. Należy prócz tego porobić ścisłe oszczędności w personelu służbowym i w materyałach. „Okresy przesileń są bowiem okresami rewizyi wszelkiego rodzaju wynagrodzeń, pensyj, a nawet płacy zarobkowej i wszystkich innych wydatków." Następnie p. Leroy-Beaulieu radzi urządzać jeżeli nie trusty, jak w Stanach Zjednoczonych, to przynajmniej „związki," jak w Niemczech, dla uregulowania produkcyi i ustanowienia cen, które stojąc na poziomie umiarkowania, dawałyby zarazem dochody przedsiębiorstwom dobrze urządzonym i kierowanym.

Co mógłby uczynić rząd rosyjski ze swojej strony? Autor nie widzi konieczności podnoszenia ceł, gdyż te są już dosyć wysokie, zresztą nadmierny protekcyonizm prowadzi tylko do nadmiaru produkcyi, a więc do zniżenia cen. Natomiast państwo mogłoby zniżyć taryfy na swoich kolejach żelaznych i tym sposobem ułatwić przewóz towarów, co znowu wpłynęłoby na rozszerzenie zbytu węgli i żelaza. Ekonomista francuski zaleca także fabrykantom zasiłki rządowe—jako środek wyjątkowy i tymczasowy. (Naturalnie mowa tu tylko o produkcyi węgla i żelaza).

Głos ekonomisty francuskiego wywołał różnorodne uwagi w prasie rosyjskiej. Pod wielu względami przyznano mu racyę.

Sprawa wielkiego przemysłu, jego przesileń i wogóle związana z nim polityka ekonomiczna tak żywo zaprząta obecnie umysły, że inna kwestya, również pozostająca w związku z wielką produkcyą, mianowicie sprawa zabezpieczenia bytu robotników, zeszła na drugi plan. Dla tego też publicystyka mało zajmuje się faktem, że w ministeryum skarbu opracowano już i złożono w Radzie państwa do rozpatrzenia i zatwierdzenia nowy projekt przepisów o wynagradzaniu robotników i oficyalistów przedsiębiorstw przemysłowych w razie śmierci i kalectwa, wynikających z wypadków nieszczęśliwych. Dotychczas środki zalecane przez prawodawstwo wcale nie odpowiadały potrzebom istotnym. Projektowane obecnie przepisy, przedewszystkiem zwracają uwagę na samą procedurę stwierdzenia faktu kalectwa lub śmierci. Właściciele fabryk, zakładów przemysłowych i rzemieślniczych, obowiązani będą zawiadamiać policyę o każdym wypadku nieszczęśliwym najpóźniej na czwarty dzień; jeżeli zaś wypadek pociągnął za sobą poszwankowanie, z którego może wyniknąć niezdolność do pracy, zawiadomić należy najpóźniej trzeciego dnia; wreszcie natychmiast w razie śmierci lub też na każde zażądanie robotnika poszwankowanego. Należy sporządzać protokóły wypadków, a kopie ich wydawać zarobkodawcom i poszkodowanym. Od obowiązku wynagradzania przedsiębiorca może być zwolniony tylko w takim razie, jeśli udowodni, że *jedyną* przyczyną poszkodowania robotnika było wykroczenie osób nie należących do przedsiębiorstwa przemysłowego lub też zła woła samego poszkodowanego. Tym sposobem sprawa jest znacznie uproszczona. Właściciel przedsiębiorstwa zawsze będzie uważanym za winnego, dopóki sam na sądzie nie udowodni, że jest wręcz przeciwnie. Nowe prawo zaleca inspektorom fabrycznym nakłaniać obie strony do dobrowolnych układów o wynagrodzenie.

Sposób obliczania skali wynagrodzenia, projektowane prawo określa wyraźnie. Mianowicie w razie zupełnej i stałej utraty zdolności do pracy, robotnik otrzymuje pensyę dożywotną w stosunku $^3/_4$ zarobku rocznego. Zarobek ten oblicza się za pomocą pomnożenia 280 (liczbę dni roboczych w ciągu roku), przeciętnej płacy dziennej, jaką otrzymywał przed wypadkiem nieszczęśliwym (w razie jeżeli zarabiał rocznie mniej, niż 1,500 rubli). Wynagrodzenie wyznaczane rodzinom robotników zmarłych skutkiem wypadków nieszczęśliwych ma się równać 60% zarobku rocznego dla całej rodziny. Nadto określono zapomogi dla członków pojedynczych; mianowicie dla wdów w stosunku 30% rocznego zarobku robotnika zmarłego, jego zaś dzieci aż do 15 roku życia pobierają po 25%, jeżeli się stały zupełnemi sierotami; w razie zaś gdy po-

został przy życiu ojciec lub matka—po 15%; również tyle otrzymują dzieci osierocone skutkiem wypadku nieszczęśliwego a pozostające na utrzymaniu dziadka, babki lub braci i sióstr, aż do 15-go roku życia.

Projekt prawa podaje dwa sposoby zabezpieczenia (jak i obecnie): 1) wypłacanie pensyi lub 2) sumy jednorazowo. Ten drugi warunek może nastąpić tylko w razie obustronej zgody.

Projekt nowego prawa krytykują niektóre pisma rosyjskie. Do słabych jego stron zaliczają zbyt częste pozostawianie kwestyi „dobrowolnemu załatwianiu obu stron." Niejednokrotnie także poszkodowani będą musieli się uciekać do sądów, co jest rzeczą bardzo niewygodną dla robotnika.

Jedno z pism przewiduje, że tak samo jak dziś ułatwiać sprawy będą ich sprytni skupywacze, wyzyskujący położenie robotników. Zwrócono także uwagę jeszcze na jeden bardzo ważny brak: mianowicie prawo nic nie mówi o zabezpieczeniu robotników, pozbawionych zdolności do pracy skutkiem chorób zawodowych, jak np. suchoty w fabrykach tkackich, reumatyzmy w hutach szklanych i fabrykach żelaza, zwyrodnienie i wypadanie kości w fabrykach fosforu, zupełne zrujnowanie całego organizmu w ciągu 2—3 miesięcy pracy w fabrykach węglanu ołowiu (blejwajsu).

Paweł Krzyżanowski.

Września przed sądem Sejmu Rzeszy.

Na ławie podsądnych siedział kanclerz Bülow uśmiechnięty i rozpromieniony jak zwykle. Rolę prokuratorów pełnili posłowie polscy, ultramontańscy i radykalno - społeczni; bronili zaś, jak łatwo się było spodziewać, narodowo-liberalni faktorzy rządowi i junkrowie. Właściwie, jakkolwiek to brzmi paradoksalnie i śmiesznie, mowa jednego z mówców polskich, ks. Radziwiłła, nie zasługuje na miano oskarżenia. Książę bowiem wyłożył interpelacyę w formie tak delikatnej, uperfumowanej w dodatku pochlebstwami dla hr. Bulowa oraz przesiąkniętej obawą aby, broń Boże, interpelacyi nie wytłomaczono jako demagogii, iż można ją uważać raczej za nieśmiałe pytanie, wygłoszone ze schyloną głową, czołobitną miną i ręką na sercu.

Gdy ks. Radziwiłł, idąc ku mównicy, ścisnął rękę hr. Bülowa z prawdziwie serdecznym uśmiechem na ustach, wiedziano z góry, iż będzie weń strzelał z kotylionowej armaty karmelkami. „Rys potężnego poczucia narodowościowego przebija się w naszym kanclerzu, a jednak spodziewamy się po jego humanitarności, do której wszyscy czujemy nieograniczone zaufanie, iż wymarzony przezeń wieniec chwały niemieckiej nie straci nic na swej świeżości i jaskrawości, jeżeli nie będzie przepojony łzami matek polskich. Nie powodują nami względy agitacyjne, lecz poważny stan położenia." Tak mówił książę, a osłodziwszy swe strzały tego rodzaju wywodami, zaznaczył, iż wrażenie sprawione za granicą przez proces wrzesiński może uczynić uszczerbek opinii państwa niemieckiego za granicą. Ta podstawowa myśl interpelacyi miała usprawiedliwić wytoczenie procesu rządowi pruskiemu przed forum Rzeszy; chciano w ten sposób zmusić kanclerza do odpowiedzi przed obliczem instytucyi demokratycznej a zarazem dać przedstawicielom opinii publicznej całego narodu możność bliższego zaznajomienia się ze sprawą i zaznaczenia odpowiedniego stanowiska. Stało się to, co było do przewidzenia. Kanclerz przyrzekł, iż szczegółowo odpowie na interpelacyę w... sejmie pruskim, którego też kompetencyi podlega zajście. Co się zaś tyczy sławy Niemiec za granicą, to nie ucierpiała ona pod wpływem procesu ani na włos. Stosunki międzypaństwowe i solidarność w pewnych materyach nie uległy zmianie, a zresztą, jak mógł książę Radziwiłł chociażby na chwilę przypuszczać, iż zdanie zagranicy może wywrzeć na rządzie niemieckim jakiekolwiek wrażenie? „Dla mnie — woła kanclerz z patosem — orzeka tylko racya państwowa. W myśl tego, ze względu na niebezpieczeństwo, grożące ze strony Polaków narodowi niemieckiemu, uczynię wszystko, co będzie leżało w zakresie mego obowiązku, aby Niemcy nie dostali się pod koła."

Zbawca Niemców natychmiast opuścił Sejm Rzeszy, aby w ten sposób zaznaczyć wyraźniej swe stanowisko. Po nim zabrał głos przedstawiciel najpotężniejszego stronnictwa sejmowego, poseł centrowy sędzia Roeren. Przedewszystkiem zaprotestował on przeciwko temu, jakoby sprawa nie należała do Sejmu Rzeszy. Oburzenie całego świata dostatecznie usprawiedliwia poruszenie wyroku wrzesińskiego w danem miejscu. Nie idzie tu zresztą o wybryk pojedynczego brutala, lecz o masowe chłostanie, uświęcone i zalecane przez organy władzy odnośnej. Inne procesy, jak poznański i toruński w połączeniu z niesłychanym i wołającym o pomstę do nieba wyrokiem wrzesińskim, świadczą, iż należy zerwać raz na zawsze z obecną polityką germanizacyjną, gdyż prowadzi ona do niesprawiedliwości i chybia celu. Protest posła ultramontańskiego pokazał dobitnie, iż rząd pruski zeszedł na manowce swawoli krzyżackiej. Trzeba go było zatem uratować za wszelką cenę w oczach zgromadzenia, reprezentującego ludność wszystkich państw niemieckich. Tej misyi dobroczynnej podjęli się zachowawcy i narodowi liberałowie.

Junkier hr. Limburg - Stirum wychwalał też pod niebiosa obecną politykę antypolską. Dzieci bynajmniej nie katowano. Cztery uderzenia są bagatelą, o której nie warto wspominać. Mówca widocznie miał na myśli, iż za czasów pańszczyźnianych junkrzy nie zadawalali się tak małemi porcyami. Dalej wywodził on, iż wyrok wrzesiński jest wzorem i pomnikiem bezstronności sędziowskiej. Agitacya polska jest niebezpieczną. Jeżeli królowie pruscy przed kilkudziesięciu laty przyrzekli nietykalność języka polskiego, uczynili to w przypuszczeniu, iż Polacy zachowają lojalne uczucia wiernopoddańcze. Rząd pruski zawiódłszy się w swych nadziejach, ma prawo zmienić swe pierwotne zamiary.

Tu poseł polski Dziembowski - Pomian, jeden z obrońców w procesie wrzesińskim, pospieszył na mównicę, aby wystawić wywody junkra pod pręgierz kłamstwa i sofistyki. Twierdzić, iż chłosta nie szkodzi, jest bezczelnością. Jeden z bitych chłopców stał się jąkałą, a inny dostał zapalenia ślepej kiszki. Ludność wrzesińska zachowywała się spokojnie, tylko nie witała ukłonami landrata. W takim braku szacunku dla niego nikt chyba nic odkryje ani śladu zdrady stanu. Proces wytoczył prokurator nie z własnej inicyatywy, gdyż brakło do tego powodu, ale pod naciskiem ordynarnej prasy hakatystowskiej. Królowie pruscy uroczyście brali pod swą opiekę język polski w czasach spokojnych. Rząd obecny, wykraczając przeciwko tym aktom politycznym, zmierza do stworzenia Irlandyi polskiej. Mowa posła Dziembowskiego zatarła nieco fatalne wrażenie, wywarte przez haniebnie dyplomatyzującą potulność ks. Radziwiłła. W sejmie Rzeszy zapanowało ożywienie i lada chwila mogły spaść na głowę nowe gromy. Wskutek tego narodowi liberałowie wydelegowali co tchu na mównicę posła Bassermana z piorunochronem. Rzecz oczywista, iż prostytuci bismarkowscy podpisali obydwiema rękami wszelkie przeszłe, obecne i przyszłe zbrodnie hakatystów, chociażby do siódmego pokolenia. Wtedy to na arenę wystąpił poseł krańcowej lewicy; Ledebur, aby bez żadnych „ale" zaprotestować przeciwko germanizacyi rządu pruskiego.

Przedewszystkiem Ledebur, znany — mówiąc nawiasem — ze swej sympatyi dla Polaków, oświadczył w imieniu całego stronnictwa, iż bez różnicy odcieni natury teoretycznej i praktycznej potępia ono gwałty rządowe przeciwko Polakom. Śmieszną i naganną jest „słodycz chrześciańska," z jaką książę Radziwiłł uzasadniał interpelacyę. Nie wstydził się nawet kadzić kanclerzowi i oświadczyć mu swe nieograniczone zaufanie. Może żałuje tego teraz po odpowiedzi hr. Bulowa. Wszak kanclerz zupełnie jak Chamberlain, wyraził swą pogardę dla opinii zagranicznej, a tymczasem wypadki wrzesińskie splamiły tak samo imię niemieckie, jak gwałty afrykańskie obciążają sumienie Anglii.

Trzeba raz na zawsze wziąć rozbrat z systemem gwałcenia mniejszości. Tolerancyi religijnej musi towarzyszyć narodowościowa. Wykład religii w szkole trzeba wogóle raz na zawsze znieść. Nauczyciele, którzy nie potrafią nauczyć dzieci swych rodaków języka niemieckiego, jeszcze bardziej są niedołężni, gdy idzie o dzieci polskie i wskutek tego chwytają się kija. Wydzierając Polakom język ojczysty, nie pozyska się ich, ale przeciwnie, rozbudzi w nich nienawiść. Śmieszna to doprawdy rzecz, iż sędziowie wrzesińscy upatrywali w Polakach wrogów rządu, których należy osadzać w więzieniu. „A iluż to z nas — wołał mówca — w takim razie nie powędrowałoby do Zuchthausu? Kto z nas nie zwalczał rządu?"

W końcu mówca przypiął bardzo zręcznie łatkę Kołu polskiemu. Jakże posłowie, którzy idą ręka w rękę z rządem pruskim w sprawach wojska, marynarki i nawet ceł zbożowych, mogą się zdobyć na opozycyę?! W nastroju świątecznym robią opozycyę, a w dzień powszedni popierają junkrów. Precz z polityką germanizacyi, która przynosi hańbę narodowi niemieckiemu!

Po mowie Ledebura interpelacyę odroczono, pomimo iż na liście mówców figurowały nazwiska jeszcze dziesięciu posłów.

H. F.

Z NAD WARTY I ODRY.

„Czy kanclerzowi państwa wiadomem jest, że zajścia wrzesińskie wywołały nietylko u nas, ale także zagranicą wrażenie i oburzenie, które może przynieść ujmę powadze państwa niemieckiego, i jakie stanowisko zajmuje kanclerz w tej sprawie?" — tak brzmi interpelacya, wniesiona w parlamencie Rzeszy może... przez — konserwatystów, dbających o powagę państwa niemieckiego, narażoną na szwank wskutek „wybryków polskich." Nie! Tę patryotycznie-niemiecką interpelacyę wniósł nie kto inny, jak osławione Koło polskie w Berlinie. Zwlekało bardzo długo, namyślało się, wahało — aż wreszcie, kiedy dowiedziało się, że socyaliści niemieccy mają się upomnieć o krzywdę polskich dzieci we Wrześni, odważyło się zainterpelować rząd i poczęło zbierać podpisy. Dokąd się miało udać po nie? Naturalnie, do „wiernego sojusznika i przyjaciela"—do centrum katolickiego. „Wierni sojusznicy" przyrzekli swe podpisy (oczywiście nie wszyscy), ale zażądali takich zmian w treści i formie interpelacyi, że pozostało albo pozbawić ją wszelkich cech opozycyjności, albo zrzec się jej wniesienia. Radziwiłłowie, Czartoryscy, Kwileccy

i Jażdżewscy nie przypuszczają trzeciego wyjścia, tj. udania się po podpisy do jedynego szczerze demokratycznego klubu parlamentarnego. Na to są przecież zanadto pokrewni duchem i stanowiskiem klasowem junkrom pruskim. W rezultacie więc mamy kompromitującą w najwyższym stopniu interpelacyę. Obawiać się należy, że i mowy, wygłaszane z powodu niej w parlamencie berlińskim, będą nie mniej kompromitujące. Mam na myśli oczywiście mowy posłów z Koła polskiego, bo zapowiedzieli swój udział w rozprawach nad interpelacyą z powodu „zagrożonej powagi państwa niemieckiego“ i przedstawiciele najskrajniejszej lewicy. Ci też z pewnością uratują położenie.

Sądy pruskie usiłują widocznie nie pozwolić na uspokojenie się polskiej opinii publicznej, wzburzonej z powodu wyroku wrzesińskiego. Bo oto zakończyła się nowa sprawa polska — nowym barbarzyńskim wyrokiem.

Przed kratkami sądowemi stawali: dr. Kazimierz Rakowski, współpracownik *Pracy* poznańskiej oraz jej wydawca, p. Marcin Biederman. Donosiłem już w swoim czasie o okolicznościach, towarzyszących aresztowaniu dr. Rakowskiego we Wrocławiu, dokąd przybył — będąc wydalonym z Prus, — ażeby się porozumieć z p. Biedermannem w sprawie zorganizowania kampanii wyborczej na Górnym Śląsku. Oskarżony jest o bezprawne zjawienie się na terytoryum pruskiem oraz o popełnienie szeregu przestępstw w artykułach *Pracy*. Artykuły te, pisane z powodu brutalnych czynów władz pruskich, jak skazanie p. Omańkowskiej na więzienie za uczenie dzieci, jak szykany pocztowe itd., były zaopatrzone w pseudonym „Vester.“ Władze pruskie w ciągu długiego czasu nadaremnie usiłowały wykryć nazwisko autora. Przedsiebrano wielokrotne, a zarazem bezskuteczne rewizye w redakcyi *Pracy*; może dotychczas osobistość „Vestera“ byłaby władzom pruskim nieznananą, gdyby nie denuncyacya dr. Szymańskiego, wydawcy *Orędownika*, cieszącego się sławą denuncyata ju od lat dwudziestu. Ten pan ogłosił publicznie w swem piśmie, że pod pseudonymem „Vestera“ ukrywa się dr. Kazimierz Rakowski. Kiedy ten wpadł w ręce policyi pruskiej, prokuratorya nie omieszkała skorzystać z cennych wskazówek i wytoczyła mu proces.

Na świadków powołano wielu dziennikarzy polskich i niemieckich — z dr. Szymańskim na czele. Z zeznań ich można było wywnioskować co najwyżej, że chodziły pogłoski, jakoby autorem artykułów, podpisanych „Vester“ jest Rakowski. Pozytywnych jednak dowodów sądowi na to nie dostarczono. Panowało wobec tego powszechne przekonanie, że dr. Rakowski będzie uwolniony z braku dowodów, ponosząc jedynie odpowiedzialność za bezprawne zjawienie się na terytoryum pruskiem. Tymczasem przewodniczący oświadcza wśród ogólnego poruszenia, że sąd uznał za rzecz *udowodnioną*, iż autorem wszystkich trzech inkryminowanych artykułów jest oskarżony dr. Rakowski. Sąd przyszedł również do przekonaia, że artykuły jego w redakcyi zmieniano, ale jedynie z powodu zbyt ostrych wyrażeń, tj. łagodzono. Sąd więc skazuje dr. Rakowskiego na *2 lata więzienia*, a oprócz tego za przekroczenie wyroku banicyjnego na trzy tygodnie więzienia. P. Biedermanna skazano za „ułatwianie i pomoc w przekroczeniach“ na 8 tygodni.

Wyrok, jaki spotkał dr. Rakowskiego, jest bezprzykładny ze względu na swą surowość i stanowi jeszcze jeden dowód hakatystycznego usposobienia sądów pruskich. Dr. Rakowski zarabiał na chleb powszedni dla siebie i swojej rodziny piórem. Obecnie zostawia żonę z dwojgiem dzieci i staruszkę matkę bez środków do życia. Wobec tego powstała myśl ufundowania ze składek publicznych „daru narodowego“ dla rodziny dr. Rakowskiego. Nie ulega wątpliwości, że myśl ta wywoła odpowiedź całego społeczeństwa w formie obfitych datków.

Z pism niemieckich wyrok w sprawie dr. Rakowskiego potępił dotychczas tylko jedyny *Vorwärts*. Natomiast z powodu procesu dr. Rakowskiego w organie wielkich przemysłowców niemieckich *Berliner Neuste Nachrichten* ukazał się artykuł, proponujący prowadzenie surowej kontroli paszportowej nad granicą prusko - galicyjską, ażeby żaden Polak, znany ze swych antypruskich dążności, nie był wpuszczony do Prus. „Polskiej swawoli — pisze ów dziennik — należy od czasu do czasu przypomnieć, że stan oblężenia jest właściwą, normalną konstytucyą dla zgrai agitatorów zdradzieckich.“

Stosunki w szkole wrzesińskiej nie zmieniły się w niczem. Nauka religii wykładana jest w dalszym ciągu w dwóch najwyższych klasach po niemiecku Jednakże nauczyciele nie stawiają dzieciom żadnych pytań, nie zadają im nic do nauczenia się w domu, poprzestając jedynie na wykładzie w szkole. Dzieci nie dawały żadnych odpowiedzi na pytania nauczycieli, ci więc dali im spokój. Niektóre dzieci obecnie wzbraniają się żegnać i modlić głośno po niemiecku. Zagrożono tym dziewczętom, które nie odpowiadają, przetrzymaniem ich w szkole aż do roku 16-go, ale groźba ta nie poskutkowała. Po za tem dzieci zachowują się w szkole skromnie i nauka wszystkich innych przedmiotów odbywa się prawidłowo.

Składki na ofiary wrzesińskie płyną jednym nieprzerwanym potokiem. Wszystkie bez wyjątku pisma polskie, poznańskie, górnośląskie i zachodnio-pruskie, codziennie zamieszczają olbrzymie wykazy najczęściej drobnych, kilkunastu lub kilkudziesięciofenigowych składek. Pierwsza stanęła do apelu inteligencya, za nią ruszyli rzemieślnicy, robotnicy i chłopi. Zbieranie składek stało się skutecznym środkiem agitacyjnym ku niezmiernej wściekłości prasy hakatystycznej, która nie spodziewała się takiego skutku procesu gnieźnieńskiego. To też wysila się ona na coraz to nowe projekty środków zaradczych wobec szerzenia się świadomości narodowej wśród mas polskich.

Oto np. *Leipziger Neueste Nachrichten* radzi zakazać wydawania gazet polskich, kazań polskich w kościele, zebrań polskich, wywieszania szyldów polskich, mówienia po polsku na ulicach i drogach publicznych i wreszcie zakazać Polakom kupowania ziemi. Monachijska *Allgemeine Zeitung* nie wierzy widocznie w skuteczność wszystkich tych zakazów, więc domaga się, by rząd niemiecki wyjednał u papieża nakaz uczenia się religii po niemiecku, skierowany do wszystkich Polaków w Prusach.

Pisałem w poprzednim liście o klęsce, jaką zgotowali „wierni sojusznicy“ Polaków — centrowcy — obozowi polskiemu, skupiającemu się dokoła *Katolika*. Centrowcy nie dotrzymali słowa, danego katolikowcom i spowodowali upadek kandydatów polskich w trzeciem kole przy wyborach do bytomskiej rady miejskiej. Księża i nauczyciele centrowcy rozwinęli przy tej sposobności bardzo energiczną agitacyę przeciwko kandydatom polskim. Tymczasem nadeszły wybory w drugiej klasie (kole), gdzie, jak się pokazało, centrowcy mogli zwyciężyć jedynie w tym wypadku, jeśliby otrzymali głosy polskie. Jednakże wyborcy-Polacy, oburzeni na centrowców za ich nikczemną zdradę przy wyborach w trzeciej klasie, postanowili powstrzymać się od głosowania i wcale nie brać udziału w wyborach. A więc klęska centrowców była nieunikniona. Widząc, co się święci, interesowani przyjechali w ostatniej chwili do naczelnego redaktora *Katolika*, p. Napieralskiego, z prośbą o pomoc. Ten natychmiast porozpisywał błagalne listy do wyborców-Polaków, którzy (z wyjątkiem jednego) pospieszyli do sali wyborczej na pomoc centrowcom.

Wymowny ten fakt najlepiej świadczy, jacy to politycy stoją na czele ludu górnośląskiego i co warta ich polityka. Postępowania p. Napieralskiego niepodobna wytłomaczyć inaczej, jak istnieniem tajnych zobowiązań przywódców obozu *Katolika* wobec centrum. O tych zobowiązaniach oddawna przebąkiwały pisma, występujące przeciwko *Katolikowi*, ale ze strony tego organu nie wyszły dotychczas żadne wyjaśnienia w tej sprawie.

Stosunkiem Górnoślązaków do centrum zajmował się w tych dniach wiec polskich wyborców powiatu Raciborskiego, zwołany do stolicy powiatu — Raciborza. Powiat ten należy do najmniej uświadomionych pod względem narodowym, na co wpływa z jednej strony jego położenie — na uboczu od ośrodka ruchu górnośląskiego (Bytom, Huta Królewska, Katowice)— z drugiej zaś znaczny procent ludności morawskiej politycznie zupełnie nieuświadomionej. Pomimo to jednak właśnie w powiecie Raciborskim bardzo już wcześnie, mianowicie w r. 1893 próbowano przy wyborach pchnąć ludność polską przeciwko centrum. To się jednak nie powiodło, a inicyator tego ruchu, założyciel istniejących dotychczas *Nowin Raciborskich*, dr. Rostek, usunął się od polityki, sprzedawszy pismo katolikowcom. Otóż na ostatnim wiecu w Raciborzu wystąpił po raz pierwszy od bardzo długiego czasu i dr. Rostek w obronie polityki katolikowców i ich odezwy w sprawie przyszłych wyborów. Właściwie głównym referentem był p. Kowalski, obecny redaktor *Nowin Raciborskich*. Ten tłomaczył zebranemu ludowi odezwę redaktorów górnośląskich, wyliczając przytem „siedem grzechów głównych,“ które popełniło centrum wobec Polaków. Dr. Rostek, jako rodowity Górnoślązak, potwierdził i uzupełnił słowa p. Kowalskiego. Wychodząc z założenia, że Górnoślązacy nie są żadnem plemieniem, ale takimiż samymi Polakami, jak i reszta narodu polskiego, udowodnił, że mogliby oni wybierać posłów nie do centrum tylko, ale i do Koła polskiego. Mieliby do tego najzupełniejsze prawo, ale nie uczynią tego przy wyborach najbliższych, ponieważ centrum „na mocy przedawnienia“ (??) nabyło pewne „historyczne“ prawo do Śląska i tak łatwo nie da się usunąć, jak stary przedmiot zużyty. Nie wiadomo, co bardziej podziwiać w tym nowym argumencie przeciwko usamodzielnieniu polskich mas ludowych na Górnym Śląsku, czy naiwną chytrość jego autora, czy lekceważenie zdrowego chłopskiego rozumu zebranych wyborców. Jeszcze śmieszniejszym jest drugi argument: redaktorowie górnośląscy już postanowili nie odzywać się do centrum przy najbliższych wyborach i w tym duchu wydali odezwę; wobec tego sam wzgląd na redaktorów górnośląskich nie pozwala wyborcom postępować inaczej.

I to się nazywa polityka!

Na szczęście wśród ludności górnośląskiej coraz większy wpływ zyskują nowe żywioły, które potrafią przyspieszyć rozwój jego dojrzałości społeczno-narodowej i wyprowadzić ją na szerokie drogi polityki zasadniczej.

Pośrednik.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Po co to?

W warszawskim sądzie Okręgowym toczył się ohydny proces karny, który przez kilka dni dostarczał tłustego i obfitego żeru tłumowi amatorów skandalu. Umiemy cenić znaczenie jawności sądów i nie chcielibyśmy jej ograniczać w interesie jednostek; ale zdaje nam się, że prasa, która tej jawności nadaje widoczne rozmiary, powinna ją miarkować i ważyć na swych szalach jeszcze inne względy, oprócz chęci zadowolenia pospolitej ciekawości swych czytelników. Skoro w sieć sporu prywatnego wplecione są nici społeczne, wtedy ogół ma słuszne prawo domagać się dokładnej znajomości osób i faktów, występujących przed trybunałem. Ale na co mu potrzeba wiedzieć, że A. został obity przez B., że C. został oczerniony przez D., że ze starcia się namiętności, dzikich popędów, zmiennych rozbestwień i nikczemnej zemsty, trysnęła fontanna błota, która obryzgała ludzi niewinnych? Przez kilka dni w sprawozdaniach sądowych prasy warszawskiej rozlegały się echa policzków, wrzasków napastniczych, brutalnych zniewag, karczemnych wymysłów — echa stosunków i zatargów ludzi inteligentnych, godne szynku i motłochu. Po co te wstrętne odgłosy daleko w świat poleciały? Czy z tego komukolwiek przyrosła kruszyna dobra? Czy to jest ludzkiem i uczciwem otrębywać przed setkami tysięcy ludzi, że p. X. za miłość do swej obecnej żony dostał od jej wielbiciela „cztery razy w twarz“? Czy to jest ludzkiem i uczciwem wbijać w młodych ludzi wspomnienie publicznego stwierdzenia tej zniewagi? Och, jak lekkiem w naszem ręku bywa cudze szczęście, cudza cześć, cudze cierpienie!

Nie myślimy nakładać więzów na słuszne w zasadzie prawo prasy do odzwierciadlania życia, ale mniemamy, że ona sama powinna temu prawu zakreślać granice, wskazane jej przez rozum i sumienie. Z przyjemnością też zaznaczamy, że jeden z dzienników, zarówno w przedstawieniu treści, jak w wymienianiu osób procesu zachował chwalebną rozwagę i przyzwoitość. Za tym przykładem niech pójdą inne, a roznoszenie i rozrabianie błota niech pozostawią paszkwilantom zawodowym. Tego cuchnącego chleba nie należy im ani zazdrością, ani odbierać.

Nowe Towarzystwo.

We wtorek ubiegły na posiedzeniu warszawskiego stowarzyszenia rolniczego, a raczej syndykatu, poruszono sprawę założenia Towarzystwa, gdyż ani sekcya rolna, ani syndykat nie odpowiadają potrzebom istotnym, rosnącym coraz bardziej. Brak takiego ogniska w części kraju, który stoi na wysokim stosunkowo szczeblu kultury, jest faktem wprost krzyczącym. Słusznie też ziemianie upominają się o taką instytucyę. Znalazły się wszakże głosy wręcz przeciwne lub sceptyczne. Ktoś wyraża obawę, że po założeniu nowego Towarzystwa ucierpi sekcya rolna, ktoś inny boi się rozpraszania sił aż w trzech instytucyach i obarczania rolników nowemi składkami. Dla tego też niektórzy są tylko za rozszerzeniem ustawy syndykatu. Projekt przezeń jednak większością głosów, jest zatem nadzieja, że się wkrótce rozpoczną zabiegi o wprowadzenie jego w życie. W Mińsku obok Towarzystwa rolniczego istnieje także syndykat. Obie organizacye rozwijają się świetnie i stanowią całość. Dla czegóż zczasem i w Warszawie syndykat nie mógłby się stać częścią składową Towarzystwa? Co do sekcyi rolnej, nietylko nie ucierpi ona ale, jak słusznie dowodził p. Czekanowski, zyska nawet na stworzeniu nowego ogniska spraw ziemiańskich. Istotnie pozbędzie się ona balastu niepotrzebnego i stanie się pewnem spoidłem, łączącem sprawy ogólne wszystkich towarzystw, a więc i wszystkich ziemian w Królestwie Polskiem. Ktoś nadmienił, że dla zapewnienia bytu nowej instytucyi trzeba co najmniej 700—800 członków. Tylu właśnie gub. Warszawska może dostarczyć, tem bardziej, że Towarzystwo przyciągnęłoby nowy żywioł posiadaczy na parcelach, którzy się mnożą z dniem każdym. Są oni w fatalnem położeniu, częstokroć obarczeni dwukrotnym ciężarem Towarzystwa kredytowego ziemskiego, nie mają żadnej pomocy. Skutkiem tego warunki ich są tak opłakane, że niekiedy doprowadzają do krańcowej rozpaczy. Ktoś nawet dla ilustracyi tych stosunków dodał, że jeden z takich parcelantów, nie mając żadnego wyjścia, obwiesił się. Towarzystwo rolnicze mogłoby w wielu razach ułatwić im istnienie. Wreszcie i włościanie wymagają także pewnego rodzaju pomocy i ułatwień, jakie zapewnić im może tylko ognisko spraw rolnych, na szerszych podstawach założone.

Nowemu projektowi na ogólnem zebraniu syndykatu nadali bieg Maciej ks. Radziwiłł i p. St. Dzierzbicki. *p.*

Chłopi akcyonaryusze.

W Dobrem, na Kujawach, postanowiono założyć cukrownię akcyjną, która będzie miała bardzo przyjazne warunki rozwoju i znacznie może podnieść całą okolicę pod względem ekonomicznym. W naradach nad projektem tej fabryki, obok licznych ziemian, wzięło udział 24 włościan. Postanowiono, że pierwszeństwo w Towarzystwie akcyjnem będą mieli plantatorowie, którzy jednocześnie zostaną akcyonaryuszami w stosunku 100 rb. na morgę plantacyj. Dla ułatwienia wypłacenia akcyi wymagane będzie 25 rb. na akcyę gotowizną, pozostałe zaś 75 rb. wolno spłacać burakami w ciągu lat trzech. Można liczyć na zapisanie 2,000 morgów plantacyj za 100-rublowymi udziałami, co da, jako podstawę Towarzystwa, 200,000 rubli. Włościanie bardzo chętnie zadeklarowali udziały, żądając zarazem, ażeby do grona założycieli i do zarządu dopuszczono ich przedstawicieli. Jakoż wybrano między innymi dwu włościan gospodarzy. Zajmą się oni, obok ziemian, wyjednaniem ustawy i założeniem Towarzystwa. Włościanie ci zapewnili, że po porozumieniu z sąsiadami przyjdą na drugie zebranie z gotową listą podpisów na bardzo znaczną sumę. Jest to objaw dotąd u nas prawie wyjątkowy, który można uważać za zapowiedź uświadomienia ekonomicznego śród ludu. W Czechach chłopskie cukrownie są zjawiskiem powszednim. Do pracy zrzeszonej w tej dziedzinie przystępują tam włościanie-plantatorowie i dzięki takiemu zrozumieniu potrzeb, poziom dobrobytu ludu czeskiego znacznie się podniósł, a zarazem i kultura wogóle stanęła na szczeblu względnie wysokim. Miejmy nadzieję, że u nas cukrownia w Dobrem nie będzie faktem oderwanym. *zn.*

O podwyższenie pensyi.

Gazeta Polska donosi, iż inspektor szkół m. Warszawy, niezrażony odmową, wystąpił ponownie do magistratu o podwyższenie pensyi nauczycielom i nauczycielkom szkół początkowych miejskich. Na ten cel trzeba zwiększyć wyznaczoną przez magistrat sumę o 15,710 rb. rocznie. Do szkół miejskich uczęszcza obecnie ogółem 7,533 dzieci, w tej liczbie 5,403 chłopców i 2,130 dziewcząt. Wobec panującej dziś wogóle w sferach decydujących dążności do podniesienia płacy pracownikom w różnych instytucyach, w których nie zmieniano etatów od lat kilkudziesięciu, można mieć nadzieję, że tym razem zabiegi inspektora szkół miejskich w Warszawie nie pozostaną bez skutku. Nauczyciele i nauczycielki pobierają tak mizerne wynagrodzenie, że nie mogą zaspokoić najniezbędniejszych codziennych potrzeb życia. *z.*

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

Leopold Staff. *Sny o potędze.* Warszawa, Kraków 1901.

„Sny o potędze“ są śliczne, ale niezupełnie właściwy tytuł im nadano (od jednego z działów, jak to jest we zwyczaju w zbiorach opowiadań prozą)—gdyż w tych nielicznych utworach, gdzie istotnie motyw potęgi występuje („Burza,“ „Dzwony“) jest wiele sztuczności i misterności, lecz mało uczucia i prawdziwej poezyi. Zresztą w nazwie już tkwi sprzeczność wewnętrzna, potęga bowiem, ukazująca się tylko we śnie, staje się sama snem jeno i ułudą, i nigdy nie wcieli się w twardy, spiżem jęczący posąg, rozpływający się w powietrzu za lada poruszeniem: „Oto szukam olbrzymiej cyklopowej bryły, by sen mój wcielić w marmuru odłamie. Wybrałem ogrom skalny, głaz ginący w chmurze, krzyk potęgi zakrzepły w kamienną kolumnę... Cała ziemia na posąg mego snu zamała! Uśmiecham się wyniośle... *dłoń spada wzdłuż ciała... Hej! śnie nienarodzony...*“ Więc oto wynik rozmachu, którym „szaleje“ ramię poety! Uśmiech rozkoszy, wywołany ukazaniem się pięknego, sennego widziadła! I nieraz autor do tego samego powraca motywu, nieraz mu się cudnie marzy, iż z drogich kruszców, zalegających głąb jego piersi, wykuje „*dzieło* wielkie, pilne...“ Tak, niewątpliwie jest to sen o potędze... Jeżeli pobudza nas do działania wewnętrzny żar ukrytej w duszy namiętności, jeśli widnieje gdzieś przed nami daleki cel, może tonący w falach mgły, może ginący co chwila w załomach gruntu, ale bądź co bądź wytykający nam ścieżkę — wówczas samo dążenie może zawierać w sobie pierwiastki wielkości, nie bacząc, czy dobiegniemy do mety, czy nie ustaniemy wpół drogi. Ale gdy za najwyższy kres swych usiłowań obierzemy stworzenie „*dzieła*“ *wogóle*, czegoś, co nie ma jeszcze w pomyśle określonych zarysów, lecz ma być koniecznie „wielkie,“ dzieło, któregośmy nie ukochali już za to, czem jest w swej *treści* najwewnętrzniejszej, lecz które, bądź, co bądź, w ten czy inny sposób, wprawiałoby w podziw swym ogromem,—czy *taka* tęsknota, takie *sny* są istotnie znamieniem mocy? Budzić tylko mogą niekiedy współczucie, jeżeli są odruchowym objawem wstrętu ku wszystkiemu, co jest małością w rzeczywistości naszej. I wtedy jednak pobudki muszą być o tyle wyraźne, by zachowały swą siłę poddawczą. Lecz nieokreśloność pobudek i celów, bezprzedmiotowość dążeń w twórczości p. Staffa wychodzi na jaw ilekroć słyszymy zapowiedź potęgi, majestatu, dzieł cyklopowych...

„Przychodzi do mnie nocą, bierze mię w ramiona, i jest mi dobrze, cicho, choć nie wiem, kto ona... Mówi że pomiędzy leśnymi, dzikimi wykręty spoczywa zako-

pany tajemnie skarb złoty; że są wody umarłe pod zieloną pleśnią w ostępach tak zapadłych, że o wiekach nie śnią... że nie wszystko odarto z tajni i uroku i jest gdzie duszą błądzić o wieczornym zmroku. Szeptem swym mnie usypia u białego łona, i jest mi dobrze, cicho, choć nie wiem kto ona?" Domyślamy się, że to poezya, gdyż ona często nawiedza poetę i kładzie mu na czoło swą błogosławiącą, czarodziejską rękę, i domyślamy się także, iż pisząc to, autor zostawał pod czarem przepięknej melodyi Miriama: „W snach ją widuję..." I może wpływ tego poety sięga głębiej, niżby to mogło się ujawnić w zapożyczeniu jakiegoś pojedynczego motywu; może jemu zawdzięcza p. Staff i to przeświadczenie, „że nie wszystko odarto *z tajni i uroku*," te halucynacye, kiedy w chwilach łaski i wniebowstąpień cielesnemu jego oku widomie się ukazują głęboko ukryte, tajemnicze, mistyczne jeziorzyska duszy... A tam w ich toni objawia się wielka zagadka, istota rzeczy, wyzwolona z fatamorgany zmysłów i świadomości, objawia się nieosłonięty, bijący puls wszechświata... Lecz mgnienie jedno i zmętniały tonie. Wymarzona Atlantyda zapada w otchłań nieznaną, a my oto znowu w łódce bez steru i wioseł falom na igraszkę oddani, i żagle nam nadyma tęsknota i żal... Zapewne, pozytywne wyniki odkrywczej podróży równe są zeru. Lecz czy nie chodzi nam raczej o tę „barwę" czucia, której doznajemy pukając do zawartych wrot i ulegając złudzeniu: że oto już uchylają się przed nami? Nie da się ona ująć w słowa, jak niepodobna spisać miłości młodzieńczych lat, przeobrażającej całą istotę człowieka, gdyż stan taki zbyt mało posiada analogii z powszedniemi naszemi uczuciami. I tylko czasem na rozkaz poety otwierają się przed nami w błyskawicznem mgnieniu zaklęte sezamy.

Próby rozbicia ograniczających nas warunków czasu i przestrzeni, usiłowanie rozciągnięcia w nieskończoność skończonej metody ludzkiej, okrycia drzewa naszej duszy bujną gęstwą nowych uczuć, pragnień, tęsknot, namiętności nowych zdolności i władz — usiłowania takie, jeżeli są szczere, kojarzą się łatwo ze znużeniem, wywołanem jałowością faktu bieżącego, wypływają, jak ze swego źródła, z pożądania wolnego oddechu, z pożądania pełni życiowej, którą zdobyć na innej drodze wzbroniło nam przeznaczenie. „Szara, spękana ziemia, ugor zjałowiały, poszarpany pustemi wyschłych wód koryty... oto nasze życie; życie, które dziewiczych puszcz spragnionej duszy daje miejsce przy lichej, w piasku wzrosłej trawce, a tęsknocie, miast słońca, co blaskiem skier prószy, mosiężny krąg jak dzieciom rzuca ku zabawce..."

Czy tęsknoty metafizyczne, o których się dowiadujemy u p. Staffa, rzeczywiście tak owładnęły jego myślą i z takich głębin wytrysły, że stały się potrzebą uczucia i dźwignią zarazem — nie wiemy. To pewna jednak, że taki kierunek twórczości wkracza w zakres marzeń wieczornej godziny, kiedy, lecąc na skrzydłach zmierzchu," wyzbywamy, zda się, ciężaru, i płyniemy nad ziemią pospołu z subtelną wonią kwiatków i ze szmerem kroków, zbliżającej się, nocy, kiedy przestaje się całą nasza psychika, cały sposób odczuwania i oddziaływania na podniety... Ogarnia nas atmosfera cudów, przeczuć i widzeń. Opada jasny płomień dziennej, ostrej świadomości zewnętrznych kształtów i stosunków, zarysy mącą się i chwieją, i wykwitają z nich dziwne, zagadkowe istoty, by za chwilę rozpłynąć się w nicość. Kurczy się poczucie odrębności naszego *ja*, i oto stajemy się się niby punktem zawieszonym w przestrzeni i potrącanym przez mijające nas prądy, stajemy się cząstką przyrody i odczuwamy bezpośrednio, bez pomocy zmysłów, jej tchnienia... „W miękkie uciszeń tulę się szaty, zasłaniam okna mojej komnaty... Budzi się wszystko, co tajemnicze, co ma nieznane, dziwne oblicze, i co pierzchliwe, i co przelotne, i jak przeżyty dzień niepowrotne. Przychodzi wszystko co dziwne, zciszone, senne, co ma głębokie sny bezdenne; wszystko co stąpa cicho, i trwożnie, palec na ustach kładąc ostrożnie... I wszystkie podobne sny, leciuchnemi dotknięciami pendzla znaczone, a mgłą smutku przesłonięte, wszystkie te „znużone zmierzchy," „światła łkające agonią," jesienne lub białe, zimowe krajobrazy, niewysłowionej melancholii pełne, wszystkie te wizye, drgającą przeczuciem atmosferą nakryte, otaczają nas zewsząd i kołyszą miękko, pieszczotnie, dobrotliwie. Taką jest poezya p. Staffa.

Na styl jego, na koloryt poezyi wywarł wpływ niemały Tetmajer. Przekonają nas o tem (pomijamy upodobania w wizyach) zaczerpnięte u niego tu i owdzie obrazy i sposób opracowania pokrewnych motywów („Melodye zmierzchów," „Wędrówka"), a nadewszystko barwa stylu. Podobieństwo to nie jest zgoła przedrzeźnianiem, strój muzy p. Staffa zawsze wydaje się jej własnym, do jej postaci tylko przykrojonym. Zestawienie więc, które uczyniliśmy przed chwilą, świadczy tylko, jak wysoko cenimy i z jaką przyjemnością słuchamy pierwszych dźwięków lutni autora, acz głębszej samoistności nie dostrzegamy w nim jeszcze. Zapewne, obok podobieństw zachodzą tu i różnice, nie wspominając zgoła o sile rozmachu skrzydeł. Tetmajera zawsze coś „na zieleń łąk woła"; P. Staff, przeciwnie, lubi obrazy przymglone, więc też styl jego nie może się iskrzyć takim zawrotnym tańcem barw i blasków. U Tetmajera jakby jego własna dusza rozszerzała się w bezkreśne, okiem niedościgłe przestworza: tej perspektywy nie ukazują najczęściej obrazy p. Staffa, gdyż składają się z mozaiki widoków i zdarzeń, przesuwających się w szybkim biegu przed nami, a ich spoidłem jest tylko, jak w „Cieplarni" Maeterlincka, ciągłość nastroju. Możemy to zauważyć nawet w takim oto drobiazgu: „Złe, ciemne sny! Chcę marzyć południa pogodne—Sierota biedne oczy wypłakała z żalu... Majaczą obłąkani w posępnym szpitalu..." Wiemy już, że autor postanawiał nieraz wykonać jakieś wielkie dzieło. A przecież wola nie jest twórczą, ona tylko wypełnia rozkazy czy nastroju chwilowego, czy głębiej ukrytej namiętności... Więc też żadnych horoskopów co do kierunku talentu p. Staffa i jego mocy nie układamy. Jest atoli pewien zakres, w którym wola odda autorowi niewątpliwe usługi, a to w wyższym niż dotychczas, opanowaniu sztuki pieśniarskiej. Lubi on kunsztowność w wiązaniu strofiesnem zadźwięków i w sprzęganiu jednostek rytmicznych, przekłada nad inne — dłuższe i złożone miary wierszowe (Ja, tytan burzy, ciałem mem zalegam gór olbrzymi stok!" albo: Wszechświat się cały dzwonem stał, a jam jest sercem tego dzwonu"); w budowie całości nie zawsze jest zwięzłym; bo szkoda mu może jakiegoś obrazu, czy wyrażenia, bo musi dociągnąć linie pokazane przez zewnętrzną architektonikę... I oto, tu i owdzie wkradnie się jakiś zwrot, nie krzyczący wprawdzie, ale zręczny i obniżający bądź co bądź wrażenie odpowiednich ustępów. Dla brzęku końcówek, dla harmonii taktu rytmicznego autor poświęca wewnętrzną melodyę; wskutek zbytniej obszerności ram w stosunku do wypełniającej go treści rwie się ciągłość motywu, gmatwają delikatniejsze odcienie; zatrzymują nas w drodze rozwlekłości, uderzają w sposób niemiły tautologie, gdyż każą nam często cofać się bez potrzeby do punktu, od którego już odeszliśmy... Jesteśmy w „lesie opętanym" (symbol duszy, oczywiście). Zwichrzył tajemne swe ostępy i zawył jak tur, gdyż „ujrzał rzeczy okropne, potworne, nikczemne," wstrętne, pleśnią tuczące się gady, kłody robactwem stoczone, martwe wody itd. „Las ryczał gniewem wstrętu, że w łonie swem kryje tyle nędznej obydy," rwał drzewa z korzeniem, wyrzucał żmije, i „w puch pni próchno (aliteracya zapewne mimowolna) rozniósł twardem uderzeniem." A oto finał: „*I* ujrzał taką grozę, że w trwóg bezotusze zahuczał przerażeniem i burzą oszalał!" Znowu? Przecież nic innego dotychczas nie uczynił! Same owe żmije i pleśnie, jako powód rozpętania orkanów — dość niepozornie wyglądają.

Nie chciałbym jednak, by autor doznał wrażenia, że pamiętamy mu takie przedewszystkiem rzeczy. Tak nie jest, gdyż zbyt często dochodził nas odgłos.

> Jak złotniczego miękki takt dłuta,
> Tak z srebrnem pasmem melodyi spleciony,
> Gdzieś czarodziejski przędzony wrzecion.

A. Drogoszewski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Ibsen: *Doktór Stockmann* (Wróg ludu), dramat w 5 aktach (wystawiony na rzecz warsz. Tow. dobrocz. przez „Miłośników sceny").

Nietylko śród utworów dramatopisarzy społecznych, lecz i dzieł Ibsena, „Doktór Stockmann" całkowicie się wyodrębnia zarówno fakturą, jak kanwą psychologiczną. W „Norze," „Gabryelu Borkmanie" i in. widzimy symbolizm, subtelną w szczegółach psychologię, silne tchnienie poezyi i czysto literackie zalety: obrazowość i wykwintny nieraz język. W „Doktorze Stockmannie" — ani śladu prawie symbolizmu, przewagę pierwiastku ideowo-refleksyjnego widzimy stale na pierwszym planie, dyalog wyraźny, zwięzły, prosty i żywy.

Treść tak się przedstawia: Dr. Stockman, lekarz kąpielowy, analizując wodę, przychodzi do przekonania, że źródła lecznicze są zanieczyszczone i zagrażają zdrowiu kuracyuszów. Pisze więc broszurę i zamierza ją wydrukować w miejscowym „Gońcu ludowym." Dowiaduje się o tem burmistrz miasteczka, rodzony brat doktora i, powodowany osobistą niechęcią, intryguje w redakcyi „Gońca," w gronie właścicieli domów itd., ściągając tem na brata fatalne następstwa; redaktor nie chce drukować artykułu, obywatele zaś miejscy, z obawy wydatków i zmniejszenia się liczby kuracyuszów w razie ogłoszenia badań analizy, powstają przeciwko Stockmannowi. Wobec tego postanawia on rozwikłać intrygę wypowiedzeniem mowy publicznej. Lecz burmistrz i redaktor ze swem stronnictwem podburzają tłum, okrzykują mówcę „wrogiem ludu" i obalają energicznego rzecznika prawdy. Rada miejska wymawia doktorowi posadę, gawiedź zaś uliczna wybija szyby w mieszkaniu Stockmanna.

Pozbawiony chleba, przytułku, nieszczęsny ojciec rodziny chce opuścić progi ojczyste, lecz zwalcza swój żal ku ziomkom, i mówi żonie i dzieciom: „Nie! pozostanę tu, będę pracował na dzieci, aby ich wykierować na porządnych ludzi. A teraz wiedzcie, że *najsilniejszym jest ten, kto pozostaje sam.*"

Ostatnie zdanie jest główny *cantus firmus* całego dramatu, konsekwentnie ujawniającym się we wszystkich starciach tragicznych bohatera-utopisty. Dr. wierzy w swą siłę, „bo, powiada, uczciwy człowiek nie może być podłym." Wierzy w dobroć i życzliwość redakcyi „Gońca," czytując humanitarne, demokratyczne hasła artykułów; wierzy w bezinteresowność

obywateli wobec niebezpieczeństwa zatrucia chorych: „czyż człowiek, mający nawet żonę i dzieci, nie ma się troszczyć o społeczeństwo?"

I oto grom za gromem rozprasza szlachetne złudzenie społecznika: brat i teść usiłują go zgnębić i zmusić do cofnięcia swych słów; redakcya cynicznie wypowiada swe zakulisowe *credo*: „piszemy to, co popłaca... obywatele, opinia publiczna — to są nasi kierownicy," tłum zaś miejski, z wyjątkiem pijaka, pozbawia doktora i rodzinę przytułku.

Stockmann ufał sobie, wierzył w moc prawdy, i dla tego nawet po niefortunnym zatargu z żywiołową siłą motłochu, uznaje się za obalonego, lecz nie za zwyciężonego. Dla czego? bo zauważył warcholstwo *stronnictwa*. Przeciwko niemu tedy wymierza swe gromy: „Stronnictwo, zapewnia, jest moralną pijawką, wysysa ono rozum i sumienie, stąd pochodzi tyle pustych głów." A gdy znieważono jego najświętsze ideały cyniczną wrzawą plebsu, unosi się szlachetną dumą myśliciela i w oburzeniu woła: „Plebs jest wszędzie jednakim... Nie mogę przebaczyć, że motłoch tak na mnie godzi, jak na *równego sobie!*"

Zdawałoby się z tych słów, iż dr. Stockmann zajmuje w swych poglądach pewne arystokratyczne stanowisko. Lecz to chwilowy ból łamie go, słyszymy bowiem dalej takie wyznanie: „największym wrogiem jest *zwarta* większość, a większość nie ma racyi; *tłum* jest u was rdzeniem ludu, ale też *tłum bywa w każdej warstwie.*"

Dopiero w myśli ostatniej można dopatrzeć *unguem* pisarza symbolisty. Stockmann, jako społecznik musi napotkać podczas walki wrogie żywioły: plebeuszów myśli, plebeuszów czynu. Oparcie się na pozornej, udanej życzliwości redaktora Haustad — uosobienia współczesnej motylkowatej prasy — oparcie się na zmiennem *credo* motłochu myśli, zawodzi prawie zawsze szczerych bohaterów prawdy, miłośników ludzkości. Można ich złamać, ale nigdy *nagiąć* do ustępstw, tacy cierpią, lecz się nie zrażają: pozostają sami, ale z okrzykiem Stockmanna: „jestem silnym!"

Przez 5 aktów widzimy bohatera prawie stale na scenie—słyszymy jego teoryę, ulotne aforyzmy, a jednak, pomimo silnych drugoplanowych postaci, dr. Stockmann przykuwa myśl mistrzowską jednolitością wygłaszanych tez z żywiołem epizodycznym. To też dramat w całości wywiera silne wrażenie.

Wykonanie było bardzo staranne, szczególnie w akcie 4-ym — pomimo bardzo złych warunków związanych z małą sceną Filharmonii. Zarzuciłbym jednak pewną sztywność i pośpiech.

A. M.

LOSY SZTUKI.

Pałac sztuki, siedziba Towarzystwa Zachęty, chociaż napisem głosi miastu i światu z pod cudacznego tympanonu, iż służy „sztuce"—wyglądem swoim jednocześnie uroczyście temu zaprzecza. Nadzwyczajnie banalny, śmieszny ten chram pod Mojżeszem i Jowiszem ozdobiony jest obecnie ogromnie biednym plakatem p. Górskiego, głoszącym o wystawie pośmiertnej obrazów Wojciecha Gersona.

Wystawa ta mieści się w dwóch dużych salach pierwszego piętra, urządzona jest bardzo niezdarnie, niekonsekwentnie i dla zmarłego malarza niekorzystnie. Ozdobą jej jest doskonały zupełnie obraz p. t. „Spoczynek," ze świetnie malowanem i rysowanem ciałem kobiety. Reszta -to tylko olbrzymia moc pracy. Ani jedna iskra szczerego natchnienia, nie zgnieciona w zarodku ciężką manierą ckliwego akademika, nie wystrzela z tych legionów mniejszych i większych obrazów. Drobne studya archeologiczne i kostiumowe mają największą wartość z całej wystawy. Pejzaże bardzo ściśle i bardzo do odtwarzanych okolic podobne — przecież mało artystycznie pojęte. Gerson w bezwzględnem, ścisłem kopiowaniu natury widział *prawdę*, podczas gdy nowe pokolenie widzi ją w szczerem oddaniu własnej głębi *za pomocą* natury. W każdym razie wystawa ta mogłaby być zajmującą, gdyby była urządzona jak wystawa dzieł sztuki, nie stłoczony, chaotyczny kiermasz.

W dalszych salach pustki. Niema tam prawie nic godnego uwagi, z wyjątkiem znanego tryptyku Jacka Malczewskiego i doskonałego rysunku Tichego „Kobieta z bożkiem": rysunek ten jest dowodem, jak wiele poważnych efektów można wydobyć z węgla: jest on pełen koloru i charakteru.

Oddzielną salę zajął p. Antoni Austen, dając przeszło setkę obrazów, przeważnie studyów pejzażowych, niekiedy pełnych bardzo ładnego słońca, szczerych, uczciwych, pracowitych, lecz nieprzynoszących, mimo swej wielkiej ilości i najlepszych intencyj, niestety, nic nowego.

W sali rzeźby rozwinął długim szeregiem dzieła swoje p. Gabowicz. Są to poprawne, lecz bardzo przeciętnie rzeźbione studya akademickie różnych modeli bez żadnej myśli, a raczej ze zmarnowaniem myśli.

P. Gabowicz dał między innemi „Matkę" — nagą, banalną kobietę z takiemże dzieckiem na kolanach,— nic więcej nie można o tem powiedzieć.

Antytezą p. Gabowicza jest Bolesław Biegas, którego kilka szczerych, głębokich prac znajduje się tuż obok — w kącie. Artysta nie wystawia wcale studyów; nie lubi ich i nawet wcale nie robi. Schodzi na samo dno swej duszy i dobywa stamtąd mary, ukazując je zdumionemu światu.

„Walka o byt" — zakotłowanie się szalonych, widziadlanych głów i rąk: wizya głęboka i szczere robiąca wrażenie tajemniczych płaskorzeźb w świątyniach indyjskich; dalej „Ból" — człowiek gnieciony, szarpany, darty wprost masą strasznych rąk, czepiających się go zewsząd: „Noc"— pierwotnie traktowana postać, żywy symbol „chwili zgaszenia światła" i „Wichura," niewypowiedzianie żałosna mara, od której idzie gwizd i jęk wiatru, przeszywającego do szpiku. Oto szereg najnowszych prac Biegasa, w których wszędzie i zawsze objawia się rzeczywisty, szczery — artysta.

Dla ogólnego *poziomu* artystycznego, któryby interesował, wystawa w Zachęcie nie posiada nic zgoła. Budynek na Królewskiej, poświęcony sztuce — to wielka twierdza niedołęztwa.

Zupełnie inaczej przedstawiają się losy sztuki w Salonie Krywulta. Wystawa ta ma swój stały poziom. Jest nim życie, ruch i aktualność, są wiadomości z Europy. Wystawy bywają urządzane rozsądnie, z uwzględnieniem tła potrzebnego dla obrazu. Salon Krywulta pokazał już bardzo dużo nieznanej, prawdziwej, wielkiej sztuki.

Jednym z silniejszych dowodów tego była zwinięta niedawno wystawa Jana Tooropa, wystawa ilustracyj do czasopisma *Jugend*, obecna wystawa Klingera, związku litografów w Karlsruhe, wystawa prac Ryszarda Sarringa, Waltera, Jacka Malczewskiego i Włodzimierza Tetmajera.

Toorop, Malajczyk z pochodzenia, jest artystą obdarzonym ognistą, iście podzwrotnikową fantazyą i ogromnym talentem malarskim — technicznym. Stosownie do tych dwóch natur można podzielić jego obrazy: na utwory symboliczne, pełne bajecznej wyobraźni i studya efektów malarskich, wykonane z przedziwną maestryą wytrawnego artysty. Toorop — to człowiek wyłaniający tragizm, prawdę i siłę z chaosu pierwotnego wrażenia jednym śmiałym rzutem jędrnie położonej plamy, jednem gwałtownem zadecydowaniem linii lub tonu. Ogólne zastanowienie budził obraz zatytułowany: „Młode pokolenie," który daje wprost tło bajki, jaką tylko mózg dziecka wykołysać potrafi. Na wysokiem, dziecinnem krześle siedzi maleństwo i bawi się, snując obrazy niewidziane okiem człowieczem: rosną tam i piętrzą się nadzwyczajne, niesłychane drzewa o pniach czerwonych, ogromnie zielonych koronach — drzewa z zabawek rodem splątane z dziwnie dużymi kwiatami, łabędziami itp., a przez to wszystko przedziera się jakaś słodka, ogromna postać, większa od drzew i całej puszczy;— postacie najbliższych dorosłych bywają w dziecięcych marzeniach zawsze największe; cała ta wizya, niesłychanie kolorowa, zdaje się siłą dążyć w górę i przerastać milionem naiwnych, koralowych, splątanych korzeni surowy, prozaiczny plant kolejowy i sterczące nad nim słupy telegraficzne z kablami i drutami, biegnącemi wzdłuż ramy obrazu.

I to jest Toorop symbolista. Niemniej ciekawym jest jako malarz-technik. Jego „Biała dama" w przepysznie rozwibrowanym półmroku, jego „Muzyka uliczna w Londynie," „Morze," „Spuszczenie barki," to arcydzieła opanowania formy i użycia śmiałego farb.

Maxa Klingera wystawił Salon cztery cykle akwafortowe: Rękawiczka, Śmierć, Życie i Ratunek ofiar Owidyusza. W cyklach tych przejawiają się wszystkie wielkie zalety Klingerowskiego rylca i wady jego smaku. Artysta, mimo wielkiego talentu, jest ciężkim Niemcem; gdzie trzeba okazać siłę, grozę, nędzę — jest nieporównany, ale gdzie chciałby być słonecznym, lekkim, marzącym, jest niespodzianie ckliwy, ciężki, po niemiecku sentymentalny.

„Rękawiczka" — przedstawia wielce oryginalny pomysł. W cyklu akwafort całego szeregu perypetyi gorączkowego marzenia młodzieńca, który znalazł porzuconą na ślizgawce rękawiczkę ukochanej. Najwspanialszym, najoryginalniejszym z tego jest „Spokój." Po całym szeregu spazmowych walk o nieszczęsną, ciągle uciekającą rękawiczkę, zjawia się przed męczennikiem sala poważna, surowa, pośrodku której na małym stoliczku leży upragniona zguba — lecz oto słychać szelest, marzyciel patrzy wokoło siebie z przerażeniem: Przebóg! cała ściana składa się z okropnych, wydłużonych, wyprostowanych sztywnie a zawieszonych jak portrety — rękawiczek! Jakiś straszliwy płaz wśliguje się przez nie, aby znów porwać nieszczęśliwemu skarb upragniony. Pogoń i sen kończy się dość banalnie zwycięstwem amora.

„Śmierć," to cykl o wiele głębszy; jest tam kilka dzieł, przerażających nastrojem pełnym grozy: jest „noc" ze strasznemi chmurami, zasnuwającemi księżyc, widmo śmierci, czekające na szynach na, nadchodzący, pociąg z ludźmi, i ostatnia „śmierć ukojenia" z różdżką pokoju.

Cykl „Życie," to tragedya kobiety, pełna myśli głębokich, kompozycyj wspaniałych; np. „Przykuta": tłum banalnych filistrów ogląda ciekawie kobietę nagą, przykutą do straszliwego łoża tortur — „Ratunek ofiar Owidyusza," to cykl wesoły, w chwilach dobrego humoru mistrza tworzony. Klinger kłóci się tu z Owidyuszem o epilogi w metamorfozach, które dowolnie zmienia, a ostatecznie gdzieś w zaświeciu, w Elizeum, stacza z poetą klasycznym pojedynek na rylce sztycharski i styl. W cyklu tym są prześliczne, prawdziwie arkadyjskie pejzaże i świetnie konturowo rysowane ciała bohaterów.

W dalszych salach zwracają uwagę owiane mgłą baśni skandynawskich prace Ryszarda Sarringa. Są to ilustracye do bajek, motywy z legend itp. Doskonałem, pełnem nastroju dziełem, jest pejzaż fantastyczny p. t. „U siódmej góry“ oraz „Tytan morza,“ straszliwy krab, szerzący strach w uciekających rybakach.

Wystawa litografów z Karlsruhe — to szereg arcydziełek i prześlicznych, doskonałych pejzaży Kampa, Kallmorgena, Jenny Fikentscher i w. in. Cudownie śmiałem traktowaniem z osiągnięciem najsubtelniejszych rezultatów wyróżniły się szczególnie pejzaże morskie Kallmorgena.

A jednak litografia u nas — to tylko rzemiosło...

A tam taka duża, prawdziwa sztuka.

I dlatego to p. Krywult dobrze zrobił, pokazując nam prace Badeńczyków.

Osobną ścianę zajęły obrazy Jacka Malczewskiego, który dał tym razem doskonały portret własny na tle pejzażu— kompozycyę, w której jest dramat, chociażby w samem spojrzeniu przejmującem głównej postaci. Fantastyczny, ogromnie czysty, ogromnie dojrzały obrazek „Na cmentarzu,“ gdzie dzikie fauny uwijają się po świeżych mogiłach, tryptyk „Wiara—nadzieja—miłość,“ pełen zarodków jakichś nowych myśli, szarpiących się w duszy artysty, i „Osobliwy połów“ — rybaka z boginką dziwnie zagadkową.

Włodzimierz Tetmajer swoim ogromnym, ołtarzowo skomponowanym obrazem „Gwiazda Bożego Narodzenia,“ nie dorósł dawnej, zawsze ślicznej „Kolendzie.“

Gdy dodamy jeszcze olbrzymi obraz L. Farenberga: „Lucyfer,“ niezbyt natchniony, ale ze świetnie malowanymi efektami światła, dojdziemy do przekonania, że Salon Krywulta mimo szczupłego miejsca, jest w treść artystyczną bardzo bogaty.

Antoni Gawiński.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Feliks Jezierski.

Oto częsty u nas przykład człowieka, który przeszedł długie życie niewłaściwą drogą i zmarnował wielkie zdolności na użytki małe. Bo niąwątpliwie Jezierski był mocnym umysłem filozoficznym, w każdym razie umysłem naukowym, a najlepsze swoje lata stracił na służbie urzędniczej, którą spełniał niedobrze i która go duchowo zrujnowała. On, który mógł był wykładać na katedrze uniwersyteckiej, wspinał się po drabinie karyery gimnazyalnej; on, który mógł był pisać dzieła oryginalne, pozostawił zaledwie kilka rozpraw filozoficznych i filologicznych, a głównie poświęcał się przekładom. Mając dużo myśli własnych, nieraz bardzo głębokich, odtwarzał cudze. Tłomaczył: drugi tom „Historyi filozofii materyalistycznej“ Langego, „Prometeusza“ Shelleya, (pod pseudonimem Lewalda, nakładem *Prawdy*) „Logikę“ Liarda, „Główne prądy literatury XIX“ Brandesa, „Historyę XIX w.“ (według Buhlego), kompilował „Historyę literatury angielskiej“ itd. I te prace zbogacały literaturę naszą, ale Jezierski powołany był do samodzielnych. Szeroka wiedza, oryginalność poglądów, talent obrazowego przedstawiania rzeczy, barwny styl — wszystko to uzdalniało go do nich wielce. Na nieszczęście, obok innych wpływów, paraliżował jego siły jakiś dziwny, niepojęty strach. Żył w ciągłej trwodze, której owocem były także jego pseudonymy. Zdawało mu się bowiem, że jeśli położy swoje nazwisko na przekładzie jakiejś książki, ściągnie na siebie urojone nieszczęście. Niechże mu da wieczny spokój ziemia, w której legł po 84 latach znojnego żywota.

Wilhelm Bogusławski.

Dnia 11 b. m. w Żytomierzu zakończył życie Wilhelm Józef Bogusławski, dziejopis i badacz Słowiańszczyzny. Urodzony 1825 r. w Lachowcach na Wołyniu, wykształcenie średnie otrzymał w Żytomierzu, uniwersyteckie (prawne) — w Petersburgu. Następnie, jako urzędnik ministeryum wojny, przebywał w Kazaniu i nad Dunajem. Podróż po Łużycach, stosunki zażyłe z Hórnikiem i Smolerjem, pobudziły go do badań historycznych, których owocem było dzieło p. t. „Rys dziejów serbo-łużyckich,“ przełożone następnie przez Hórnika na język górno-łużycki.

Bogusławski, na podstawie długoletnich swoich badań, dowodził, że mowa słowiańska sięgała niegdyś aż do brzegów Renu. Do bardzo cennych prac jego należą „Dzieje Słowiańszczyzny północno-zachodniej do połowy wieku XIII,“ uwieńczone nagrodą konkursową przez poznańskie Towarzystwo przyjaciół nauk.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POEZYE. A. Chamisso: „Miłość i życie kobiety,“ przekł. W. Nawrockiego, nakł. Musielewicza.

POWIEŚCI. Alojzy Jirasek: „Chodowie,“ przełożyła z czeskiego Marya Wysłouchowa Warszawa. Nakładem księg. Sennewalda. Powieść historyczna, piękny, gorącem uczuciem opromieniony obraz bohaterskich, lecz bezowocnych usiłowań dzielnego ludu w celu odzyskania praw i wolności, nadanych mu przez królów w ciągu wielu wieków niepodległości Czech, a utraconych po bitwie pod Białą Górą, pod władzą cesarzów niemieckich. Chodowie, inaczej „Psiegłowy,“ zamieszkują lasy na pograniczu niemieckiem, w wioskach rozrzuconych w pasie sześciomilowym. Osiedleni tu jako straż graniczna, za wierne pełnienie obowiązków byli zawsze ludem wolnym, pod opieką praw i przywilejów królewskich żyjącym; aż przyszedł ucisk niemiecki i pozbawił ich tych wolności, zamienił w chłopów pańszczyźnianych. Wspomnienia przeszłości żyją jednak niezatarte w ich duszy; pod ich to wpływem dzielniejsi zrywają się do nierównej lecz bohaterskiej walki i giną zwyciężeni. Lecz pamięć ich nieustraszoności, szlachetnego poświęcenia i ofiary z własnego życia jest tem ziarnem wiecznie żywem, które ukryte głęboko czeka tylko promienia światła, ażeby zacząć kiełkować. Imiona bohaterskich obrońców swych praw Chodowie przechowali wiernie po dziś dzień.

— K. Przerwa-Tetmajer: „Panna Mery,“ powieść obyczajowa. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

— G. Daniłowski: „Z minionych dni,“ powieść. Nakład Gebethnera i Wolffa.

— J. Augustynowicz: „Pociągnięcia pendzlem,“ zbiór nowel. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

— A. Zajkowski: „Świt,“ nowele i szkice. Nakł. Musielewicza.

POWIEŚCI DLA MŁODZIEŻY Z Morawska „Złota ostroga.“ Nakładem księgarni K. Treptego. Powieść historyczna dla młodzieży, której głównymi bohaterami są: książę Józef Poniatowski i bezimienny pastuszek Polak, dzięki złotej ostrodze, ratujący księciu życie na polu bitwy pod Sabaczem. Szczęśliwie dla księcia, no i dla powieści, że się to pacholę tam znalazło. Trzeba jednak przypuszczać, że jeśli dzieje dalszych jego losów zajmą czytelników, to tylko dzięki ich niewybredności i bezkrytyczności.

— B. Porawska: „Nieznajoma z poddasza,“ powieść dla młodzieży. Nakł. Warsz. Spółki wydawniczej. Jak wszystkie wydawnictwa tego rodzaju, grzeszy zbyt naiwnem naciąganiem rzeczywistości do tendencyi: lecz cel ma poczciwy.

STUDYA LITERACKIE. W Wolski: „Wzloty na Parnas,“ profile duchowe poetów współczesnych. Nakł. Musielewicza.

— A. Neuwert-Nowaczyński: „Studya i szkice“ (dramat polski w XIX w. — Mirjam — Podbalanie itd.). Nakł. Tow. wyd. we Lwowie. M. Sadowski.

POLEMIKA. M. Wawrzeniecki: „Dławce,“ przyczynek do historyi sztuki. Wyd. Lewandowskiego.

HISTORYA. A. Hirschberg: „Polska a Moskwa w pierwszej połowie XVII w.“ (Zbiór materyałów do historyi stosunków polsko-rosyjskich za Zygmunta III. Lwów. Nakł. zakł. im. Ossolińskich. Skł. u Gebethnera i Wolffa.

— Prof dr. H Graetz: „Historya Żydów“ (mniejsza), przekł z niem. S. Szenhaka. Tom I, cz I. Czasy prastare. Centnerszwer.

EKONOMIA St. Piotrowski: „Wspólna własność ziemska w gminie wielkorosyjskiej.“ Nakł. Wendego.

MEDYCYNA. E. Biernacki: „Zasady poznania lekarskiego,“ wydane nakł. grona lekarzy. Skład u Wendego.

TOPOGRAFIA. Ks. A. Macoszek: „Przewodnik po Śląsku Cieszyńskim,“ z opisem topogr.-etnogr. i szkicem dziejów Ks. Cieszyńskiego. (Dochód ze sprzedaży przeznaczony na fundusz żelazny „Czytelni“ w Boguminie). Lwów. Nakł. Tow. wydawn. Skład u Sadowskiego.

O prawdę.

Młodzież uniwersytecka a walka o byt.

Niedawno prasa warszawska przebyła okres obowiązkowego zainteresowania się losem „ulubieńca publiczności“—studenta. Między innymi p. Kaprys, jako czuły barometr potrzeb społecznych, opisał przygnębiający stan studentów, rozsnuł szeroki obraz pomocy, jakąby swym młodszym kolegom mogli okazać lekarze i prawnicy. Atoli piorunujące odkrycie tych nowych dróg do poprawy nędznego losu młodzieży uniwersyteckiej, wywołało cały deszcz listów na ręce autora „o czem mówić“ i deszcz ten tak otrzeźwiająco podziałał na altruistyczne wzloty jego, że, zaniechawszy już wszelkich rozpraw na ten temat, zniewolony był do „poprzestania tylko na ogólnikowej charakterystyce opinii,“ wyrażonej w listach. Koła prawnicze Warszawy oświadczyły się prawie jednomyślnie przeciwko powierzaniu studentom posad biurowych, przepisywanie akt jest niewłaściwe, lekarze w zasadzie nic nie mają przeciwko praktyce studentów-masażystów, ale są inne przeszkody do tego; niema więc o czem mówić, żadna zmiana nie może nastąpić. „Barometr potrzeb społecznych“ okazał się barometrem opinii warstw, które wygodnie urządziły swe życie. Z listów udało się p. Kaprysowi wyłowić tylko humorystyczne elukubracye o studentach w garderobach Filharmonii. Dzielnego szermierza znalazła sobie „dola studenta“!

Sprawa przeto na razie skończona. Tymczasem student w dalszym ciągu znosi ciężką dolę. I co właściwie ogółowi lekarzy do studentów-masażystów, co prawnikom do słuchaczy prawa, co inżenierom do politechników? Pierwsi mają przeważnie ustalone dochody, ładnie umeblowane mieszkania, ciepło im, wygodnie, a w takich szczęśliwych warunkach trudno myśleć o tem, że były czarne godziny podczas dobijania się o to ciepło życiowe i, że są setki takich, którzy obecnie te czarne godziny przeżywają. Każda klasa ma swoją etykę, każda ma młodszych kolegów, obowiązki, wydatki, stosunki itd.; gdzież tu myśleć jeszcze o obcym sobie studencie?! Gdy się ukaże jego pełna nadziei postać w przedpokoju „starszego kolegi,“ wtedy mu się wszystko obiecuje: i pomoc osobistą, i poparcie u innych, i daje się mu wszelkie możliwe, a nic nikogo nie kosztujące ustępstwa, słowem, doznaje on takiego kulturalnego przyjęcia, że obałamucony marzy o fantastycznej poprawie swego bytu, marzy tygodnie i miesiące. Tamci obiecali, a student uwierzył, bo ta codzienna mitręga z wzajemnem pożyczaniem sobie dwudziestu kopiejek na obiad tak mu wściekle dopieka, że trudno nie uwierzyć, kiedy taki zasobny w znajomości i środki „starszy kolega“ obiecał. W rezultacie, zarówno „starsi koledzy,“ jak i dziennikarze w rodzaju p. Kaprysa zbyli studentów grzecznem przyjęciem, a ten jak był, pozostał sam wśród woła

jących zewsząd potrzeb, wydany na pastwę brutalnej walki o byt.

Walka o byt... to smutne, tak bardzo smutne w młodości słowo! Tak dziwnie, tak przykro odbija ono od zapalnego altruizmu młodej głowy, tak gnębiąco oddziaływa na nasze pojęcia o szlachetności, o bezinteresowności, właściwych „młodszym kolegom.“ Walka o byt w młodości to zmora, gnębiąca dzielność narodu. Tu, w Warszawie, pieszczącej według p. Kaprysa swego ulubieńca — studenta, ta walka nie od niedawna się zaczęła i jej też mamy do zawdzięczenia dziwny chłód, jaki kilka lat wieje już od studentów warszawskich. Nader szybko student nabywa cech takich, jak sobkostwo, karyerowiczostwo, brak poczucia jakiejkolwiek solidarności z ogółem kolegów, a często wyrasta na tem tle najzupełniejszy moralny daltonizm. Chociaż ten ostatni bywa często karany przez kolegów, nic jednak nie może przeszkodzić krzewieniu się innych wymienionych wad, które rozwija współubieganie się wielu o niewiele posad lub lekcyj. Królestwo ma zadużo inteligencyi na stosunkowo nizki rozkwit sił wytwórczych, współzawodnictwo panuje nietylko w sferze studentów, lecz i inteligencyi zawodowej i zarówno pod względem pierwszych jak i tej ostatniej zbliżamy się do nad wyraz smutnego stanu, w jakim z tych samych przyczyn znajduje się inteligencya galicyjska.

Mógłby mi kto zarzucić, że w życiu codziennem nie słychać nic o tem, by kolega koledze „odbił“ lekcyę lub posadę. Tak, nie słychać, ale w ciągu lat nieraz zapewne, często może bezwiednie, kolega, przyciśnięty głodem, musiał się zgodzić na zniżkę płacy o rubla lub dwa. Powoli wyzbywano się solidarności, a rosło sobkostwo, jednocześnie zaś lekcye spadały do sześciu, czterech rubli za godzinę nauki i godzinę drogi.

Niezaprzeczenie wśród niedostatku wyrabiają się często brylantowe charaktery, dzielni ludzie, wielkie serca, ale to takie rzadkie... A tymczasem przerażająca większość ludzi zawsze poddaje się łatwiej upadlającym wpływom niedostatku, szczególnie zaś młodzi niewyrobieni moralnie, nieprzyzwyczajeni w gimnazyum do materyalnego niedomagania. A tymczasem ci młodsi mają być przecie dumą swego społeczeństwa, mają pchać je naprzód, świecić wielkimi czynami. Skądże wziąć siły moralnej na to? Społeczeństwo zdaje się wcale nie myśleć o tem, że my nie możemy rozwijać w sobie wielkości ducha, bo nas gniecie i urabia na swój brudny wzór walka o byt. I w całej publicystycznej gadaninie, wzniecone przez p. Kaprysa, nie ujawniło się ani krzty pojmowania tego poniżenia moralnego studentów, na jakie prasa i „starsi koledzy“ chętnie przystają. Czy komu z tych panów postało w głowie, że młody student-masażysta występuje wobec zawodowego masażysty lub masażystki, jako zwykły współzawodnik, że taki sam stosunek zachodzi między studentami prawa a dependentami, między politechnikami a pomocnikami inżenierów; że współzawodnictwo to pociąga za sobą cały szereg brudnych uczuć, które spaczają młody umysł? Wszak mówił mi pewien student-masażysta, że, chociaż dla niego nader pożądanem byłoby uzyskanie praktyki, jednak nie może pozbyć się tego ciężkiego wrażenia, jakie na niego wywiera ten brutalny przymus walczenia o byt z biedniejszymi częstokroć od studentów zawodowymi masażystami. A w zawodzie prawniczym i inżenierskim studenci często bywają najhaniebniej wyzyskiwani, innemi słowy obniżają zawodowym pomocnikom cenę pracy, a to moralnej wartości ich zajęciom nie dodaje. Społeczeństwo jest już tak nieczułe na tego rodzaju wypaczanie młodych charakterów, że żaden głos nie zaoponował przeciwko propozycyi uczynionej przez p. Kaprysa lekarzom i prawnikom, by protekcyę swą łaskawą raczyli skierować wyjątkowo na korzyść „młodszych kolegów.“ Więc student miał otrzymać uświęcenie społeczne poniżającej go walki o byt i prawo na wyłączną opiekę i pomoc „starszych kolegów“ w traktowaniu nieumundurowanych współzawodników.

Śliczna idylla! Śliczny system kształcenia charakteru młodzieży! Szczęściem, dzięki niechęci lekarzy i prawników, wcale zresztą nie świadczącej o ich troskliwości względem dodatniego wpływania na studentów, idylliczny ten projekt spalił się na panewce *Kuryera Warszawskiego*. Był on bezmyślnym, jak bezmyślnym jest cały obecny stosunek znacznej części społeczeństwa do studentów, gdy „ulubieńcem“ jest student w salonach i salonikach, a na poddaszach jest wydanym na ślepy los współzawodnictwa zawodowej inteligencyi. I, powtarzam, żadni pp. Kaprysi, otrzymujący listy od lekarzy i prawników, nic rozstrzygną i nic poprawią tego położenia. Będzie ono coraz nędzniejszem, charaktery będą coraz bardziej podleć, umysły przejmą się płytkością wobec coraz to postępującego karyerowiczostwa, dopóki poważna prasa nie rozdmucha w myślącej i czującej części społeczeństwa pilnej, niezwłocznej potrzeby zajęcia się młodzieżą, dopomożenia jej w zdobywaniu środków bez obojętnego wystawiania na ujemne wpływy walki o byt.

Sądzę, że szeroko rozgałęziony i racyonalnie stosowany system kas pożyczkowych mógłby tu wielką korzyść przynieść. Wogóle trzeba pamiętać, że sprawa zabezpieczenia bytu lub pomocy biednym studentom nie jest tak trudną do rozstrzygnięcia, jak kwestya ogólnego pauperyzmu. Studenci to sfera ograniczona liczebnie i liche wynagradzanie korepetycyj samo wskazuje już, jak niewiele studentowi potrzeba. Brak nam tylko inicyatywy ludzi, którymby sprawa ta leżała na sercu. Zadaniem prasy jest pobudzić takich ludzi, by jaknajprędzej wszczęli akcyę dodatnią. A już czas na nią wielki.

Student.

KRONIKA.

— **Skutkiem choroby Aleksandra Świętochowskiego, fejleton „Liberum veto“ przez pewien czas ukazywać się nie będzie.**

Szkoły. Wileńska rada miejska uchwaliła zgodnie z postanowieniem Towarzystwa rolniczego — potrzebę starania się o założenie politechniki; miasto przeznacza na ten cel 300,000 rb.

— Ministeryum oświaty, zamierzając zorganizować zajęcia rzemieślnicze w szkołach początkowych, wydelegowało z różnych okręgów naukowych przedstawicieli do tych miejscowości, gdzie się już rozwinął przemysł drobny, w celu bliższego zapoznania się z różnemi jego gałęźmi.

Ofiary. Firma księgarska Beaufort, w Pradze czeskiej, przeznaczyła na korzyść dzieci wrzesińskich cały dochód ze sprzedaży po 31 grudnia roku bieżącego studyum literackiego Franciszka Sekaniny: „Henryk Sienkiewicz.“ Zawiadamia o tem w krótkiej lecz pięknej odezwie do ogółu, w której przypomina, jak dzieci czeskie prześladowano niegdyś w szkole niemieckiej i kończy słowami: „Nie dajmy zginąć dzieciom narodu bratniego, idźmy im na pomoc“ Studyum zawiera 68 str. druku i kosztuje 16 krajcarów, z przesyłką 20.

— Niewiadomy ofiarodawca złożył w Krakowie 40,000 koron na utworzenie w Cieszynie polskiego seminaryum nauczycielskiego. żeńskiego.

— Cywilny departament kasacyjny senatu rozstrzygnął ostatecznie twierdząco sprawę ważności testamentu milionera moskiewskiego Jermakowa, który zapisał dla rozdania biednym i potrzebującym wsparcia kapitał wynoszący 3,300,000 rb.

Pomnik ku uczczeniu pamięci Kornela Ujejskiego odsłonięto we Lwowie d. 8 b. m.

— Pomnik Ant. Edw. Odyńca wmurowano i odsłonięto w kościele św. Jana w Wilnie d. 11 b. m.

Okólnik Główny zarząd do spraw prasowych ogłosił w *Prawit. Wiest.* okólnik do gubernatorów i naczelników miast, zalecający przestrzeganie przepisów, wydanych w latach 1870—1898 w sprawie drukowania afiszów. Główny zarząd zauważył, że w wielu miejscowościach, wbrew przepisom, w afiszach i programach przedstawień znajdują się ilustracye i objaśnienia, częstokroć fałszywe lub szkodliwie tendencyjne. Wobec tego okólnik przypomina władzom policyjnym, że w afiszach teatralnych nie wolno umieszczać żadnych innych wiadomości oprócz tytułu sztuki, nazw aktów i obrazów, zgodnych z tekstem, zatwierdzonym przez cenzurę nazwiska autora sztuki lub tłomacza, spisu występujących osób, godziny początku i końca przedstawienia, ceny miejsc, zawiadomień o następnych przedstawieniach i repertuarze. W programach wieczorów literackich i koncertowych teksty utworów lub ich treść mogą być drukowane tylko za pozwoleniem cenzury.

Dla kobiet. Niemiecki minister oświaty oznajmił, że patenty dojrzałości, wydawane przez rosyjskie gimnazya żeńskie, nie dają wstępu do uniwersytetu lipskiego.

Hakata. Zarząd kopalni „Laurahütte,“ z rozkazu pruskich władz administracyjnych wydalił 800 robotników polskich z Galicyi, których miejsce od nowego roku zajmą Niemcy.

Nagrody. Z funduszu przeznaczonego przez Nobla na nagrody dla ludzi zasłużonych w życiu społecznem otrzymali: literacką — poeta francuski Sully-Proudhomme; za dzieło pokoju — Henryk Dunant, twórca Czerwonego Krzyża i Fryderyk Passy, organizator towarzystw międzynarodowych pokojowych: w dziedzinie nauk ścisłych — Emil Behring za surowicę przeciwbłoniczą i Wilhelm Röntgen za promienie X: oraz chemik Jakób Henryk van't Hoff — za zasługi położone w dziedzinie chemii i fizyki.

Prasa. Ukazał się pierwszy numer pisma *Górnoślązak*.

Sprawy etyczne. Władza policyjna nakazała, aby kart pocztowych i obrazków z rysunkami treści nieprzyzwoitej nie wystawiano na widok publiczny w oknach i wystawach sklepowych.

Jubileusz. We Lwowie w tygodniu ubiegłym obchodzono uroczyście 40-letni jubileusz istnienia Towarzystwa „Bratniej pomocy“ słuchaczów Politechniki.

Zdrowie publiczne. Wkrótce powstać ma w Warszawie kilka nowych aptek, zwłaszcza na krańcach miasta, gdzie ich jest zamało w stosunku do liczby mieszkańców.

— Lekarze w Sewastopolu poruszyli sprawę obowiązkowego ubezpieczenia na 40,000 rb. każdego z nich, powołanego do walki z dżumą.

Przeciw niemczyźnie. Rolnicy z Królestwa Polskiego, którzy zawiązali z Niemcami stosunki w celu dostawy do Prus przetworów z mleka, wskutek agitacyi antypruskiej zwracają im obecnie maszyny przysłane do wyrobu masła, sera itp., zrywając w ten sposób dalsze stosunki.

— Proboszcz wrzesiński odmówił nadzoru nad nauką religii w szkole miejskiej. Pewien dziekan wzywa duchowieństwo za pośrednictwem *Kuryera Poznańskiego*, aby wstąpiło w jego ślady, gdyż przy panującym systemie szkolnym nie ma możności wykonywania swych obowiązków.

— Niektóre restauracye usunęły język niemiecki z kart, obejmujących spis potraw.

— Studenci uniwersytetu w Budapeszcie urządzili manifestacyę antyniemiecką, zwróconą przeciw „artystom,“ występującym w kawiarniach i tingel-tanglach. We wszystkich tego rodzaju zakładach zmuszono komedyantów i szansonistki niemieckie do zaniechania popisów.

Koleje i komunikacye. W ministeryum komunikacyj podniesiono sprawę podziału kolei Warszawsko-Petersburskiej na dwa oddziały i przyłączenia linii od Warszawy do Białegostoku do grupy dróg Nadwiślańskich. Druga połowa należałaby do Petersburga.

— Z powodu zwiększającego się coraz bardziej przewozu towarów międzynarodowych, ministeryum komunikacyj zwróciło się do ministeryum sprawiedliwości z prośbą o wydanie przepisu, ażeby wszystkie podania w sprawie tego przewozu, wszczynane w państwie rosyjskiem, komunikowane były pozwanym w charakterze osób trzecich kolejom zagranicznym, w języku rosyjskim, bez załączania przekładów. Ministeryum sprawiedliwości, opierając się na tem, iż do awizacyj, napływających z sądów zagranicznych na imię kolei żelaznych w państwie rosyjskiem przekłady na język rosyjski nie są dołączane, uznało za stosowne tenże porządek wprowadzić ze strony rosyjskiej. O tem rozporządzeniu zawiadomiono koleje Nadwiślańskie i Warszawsko-Wiedeńską.

— Z polecenia ministeryum komunikacyj dyżury zawiadowców, pomocników, zwrotniczych itp. na

kolejach Nadwiślańskich nie mogą być dłuższe nad 12 godzin, a na stacyach o większym ruchu — nad 8 godzin.

— W celu niesienia szybkiej pomocy lekarskiej, podniesiono sprawę, aby lekarze kolejowi obowiązkowo otrzymywali mieszkanie przy biurach, warsztatach i stacyach kolejowych.

Przemysł i handel. W ministeryum skarbu powstał projekt urządzania co pewien czas zjazdów przedstawicieli miejskich Towarzystw kredytowych i utworzenia stałego komitetu, któryby je zwoływał i był ich przedstawicielem wobec władzy.

— Na zgromadzeniu właścicieli listów zastawnych „Pomorskiego Banku hipotecznego,“ stwierdzono, iż 219,600,000 marek uważać należy za stracone. Uchwalono wytoczyć proces dyrektorom.

Górnictwo. Ponieważ wytwórczość zakładów górniczych w Królestwie Polskiem nie opłaca się skarbowi, przeto główny zarząd górnictwa postanowił wydzierżawić je osobom prywatnym.

Zmarli. Eugeniusz Babiński, pedagog, w Warszawie.

— Edward Kerntopf, fabrykant fortepianów, w Warszawie.

Odpowiedzi Redakcyi

Prenumeratorowi B. Najlepsze wskazówki w tym względzie dać może redakcya „Poradnika dla samouków,“ Nowogrodzka 25, m. W-go Michalskiego.

Pani Ign. z Częstochowy. Artykułów niepodpisanych, poruszających sprawy, których ani znać, ani sprawdzić nie możemy, nie pomieszczamy.

Pani Michalinie [Wiar. Bez patentu z ukończenia średniego zakładu naukowego nigdzie do uniwersytetu nie przyjmują.

Prenumeratorce. Człowiek zawsze winien, gdyż prawa on sam sobie stanowi; nie ma on władzy tylko nad jednem prawem natury; a w niej czy Sz. Pani widzi kiedykolwiek doskonałość? W dziejach ludzkości mamy pełno takich objawów cofania się do dawno przeżytych stanów. Pomimo to rozpaczać nie należy.

Panu Hryn. Wiersz „Zima“ drukowanym nie będzie. Treścią i formą zbyt banalny.

Redaktor i wydawca **A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава, 6 Декабря 1901 года.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.